№ 31 Warszawa, dnia 19 (31) Lipca roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Z WYCIECZKI
Na Święty Krzyż i w Kieleckie.

Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

...Tak więc „...Piękny projekt się nie nadał...

„Sułtan siostry odmówił, cały dzień deszcz padał“... powtarza dziś sobie zapewne cała rzesza wędrownych ptaków, co z drżeniem serca, z duszą wrażeń chciwą, puszczała się w pielgrzymkę po kraju, lub zamorszczyźnie. Zawód ją spotkał w istocie niemiły. Poetyczny miesiąc róż i słowików nie dopisał nam jakoś, kwiliło wciąż niebo nad grzesznem mrowiskiem; zdradziło wreszcie i lato: burze, grom i ulewa zawisły dokoła po świecie. Ze słabiuchnym już tylko promyczkiem nadziei w sercu, z przekleństwem na ustach, wertując stosy kalendarzy, radząc się poświęconych i domorosłych meteorologów—za innymi żegnałem i ja w połowie coś lipca Penaty moje... Niby Cyklop, tysiącem ziejący iskier, świsnęła wreszcie lokomotywa, wzbiły się kłęby pary w mroczną dal—wieczornym pociągiem kolei Nadwiślańskiej zdążałem do Puław. Zasępiony czegoś zrazu, milczałem uporczywie nie bawiły mię wcale stereotypowe fizyognomie sąsiadów, tem mniej mogła mię zająć banalna ich urywana rozmowa. Niekiedy tylko milej mi zadźwięczał srebrny głosik młodziutkiej czarnobrewki, co jak ptaszę w gniazdku, to szczebiotała coś ścicha to znowu szczerzyła ząbki, tak naiwnie, tak serdecznie się uśmiechając, iż i mnie wreszcie raźniej się na duszy zrobiło i ulegając pokusie, wdałem się w gawędkę z nadobną prawnuczką Ewy. Za małą chwilę byliśmy już dobrze znajomi ze sobą. Noc rozpostarła płaszcz gwiaździsty, skurczyły się członki, przeciągnęły oblicza towarzystwa naszego, Morfeusz blachmalową rozsunął wszędzie oponę. Myśmy tylko we dwoje czuwali. Mruczała coś przez sen mama mojej gołąbki—nam na wzajemnych spostrzeżeniach i poufnej opowieści, szybko upływały godziny. Mówiła mi szczebiotka o rodzinie swej i domu, daleko kędyś nad Horyniem, o siole wołyńkiem z chylącą się ku ziemi cerkiewką i t. p. różnościach.

— Nowa Aleksandrya głosem Stentora zawołał nam raptem nad uchem konduktor.

Drgnęło dziewczę i taflę szklanną u okna spuszczając, wpatrzona dokoła tęskną gdzieś popłynęła dumką.

— Mój Boże! zawołała wreszcie, jakby w takt smętnym myślom, wstrząsając główką—Puławy, i cóż mi z tego? Nie zobaczę ich teraz, a może i nigdy!

Żałowałem w tej chwili, że z lampą Aladyna w ręku nie mogę wprowadzić dziewczęcia w czarodziejskie te ogrody Armidy, w ten przepyszny park Puławski, gdzie sztuka z naturą, dłoń sobie podawszy takie cuda stworzyły.

— Nam droga przez Kowel, bliziutko się ztamtąd zatrzymamy u krewnych, mówiła znowu. Brodzić będziemy wśród moczarów tych nieznośnych, po błotach poleskich i trzęsawiskach przedpotopowych.

Teraz już, do ziemskich się uciekając środków, proponowałem przepędzenie bodaj dzionka jednego w miasteczku.

Miasto odpowiedzi, snopem już tylko promieni błysnęła mi złotawa źrenica dziewczęcia. Przebudzenie się mamy i cicha z nią rozmowa mojej pasterki, zwiastowały koniec sielanki. Jedno jeszcze spojrzenie smętnych oczu, parę ukłonów konwencyonalnych, i zniknął gdzieś we mgle obrazek, jak senne widziadło ułudny... Wrzask natomiast gorączkowy, przeciągłe krzyki i nawoływania wzajemne sporej drużyny uwijających się po peronie i stacyi pasażerów z obu pociągów, świdrować mi poczęły uszy. Skazany na wyczekiwanie brzasku jutrzenki, wodząc tęsknie oczyma dokoła, ze stoicyzmem niezbyt aromatyczną popijałem herbatkę. Ustąpiły wreszcie nocne mroki... usłużny Izraela syn za marnego srebrnika wiózł mnie i losy moje do Puław. Wszystko, co prawdziwie piękne, ma to do siebie, że stokroć widziane nie traci uroku nie powszednieje nam nigdy. Tak też i Puławy uśpione, o rosie porannej, ze szmaragdową zielenią niebotycznych drzew, z łączkami kwieciem usłanemi, zajaśniały nowym jakimś blaskiem, w strojniejszej niż kiedykolwiek przedstawiły mi się szacie. Że było jeszcze zbyt rano, iżby niepokoić odwiedzinami kilku znajomych w Instytucie, zostawiwszy mojego żydka pod bramą, udałem się do parku. Ślicznie tu i miło... jak ongi bywało, jak zawsze. Usiadłem na ławeczce, tuż obok świątyni Sybilli, i myśl w daleką puściwszy przeszłość, rozpamiętywałem dzieje rodziny kniaziów na Żukowie i Klewaniu. I stanął mi przed oczyma duszy ów zacny „pańskiego iście animuszu“ Książe Czartoryski... Świeciła mu w drodze życia niby gwiazda promienna ewangeliczna niewiasta, Izabela z Flemingów; pani, co tyle kobiecych serc podniosła, umysłów wykształciła, tyle nędzy przygarnęła, ogrzała i nowemi popchnęła tory w świat boży. Przypominały mi się prace jej wraz z córką, księżną Wirtembergską, podejmowane w piśmiennictwie ówczesnem, z długiego budzącego się letargu. „Pielgrzym w Dobromilu“, „Malwina“, muzyka do śpiewów historycznych J. U. Niemcewicza. Ranne godziny na swobodnej upłynęły mi gawędce u znajomego jednego z profesorów Instytutu. Ruch tu niemały, sporo zaciąga się młodzieży pod sztandar nauki. Wybierał

się jak raz dnia tego szanowny profesor na wycieczkę ze studentami do Starej wsi, w Lubelskiem. Statystyczne dane wymownie świadczą o potrzebie kształcenia się u nas w kierunku gospodarczym i leśnym. Za bytności mej w Puławach w 1875 r. liczba studentów nie przenosiła 70, dziś już uczący się dochodzą do 180, jak mi mówiono, a z każdym rokiem pomnaża się drużyna bojowników wiedzy i światła... Są i czytelnie studenckie, i wiele pożytecznych instytucyi... Szczęść Boże poczciwej pracy i szlachetnym usiłowaniom...

W miasteczku samem ruch też wzrósł w zadziwiający prawdziwie sposób. Puławy zdają się być teraz jednem z przedmieść Warszawy. Niemały zaiste kontyngens Warszawiaków i Warszawianek rozsiadł się tu i owdzie po miasteczku. Mieszczą się jak mogą na *villegiaturze*. Na obiedzie w hotelu „Victoria“, najprzedniejszym, ile się zdaje, zakładzie gastronomicznym tutejszym, obok młodzieży instytuckiej spotkałem poważną gromadkę Warszawskich gości. Gwarno więc było i wesoło. Ścicha tylko wyrzekają niektórzy na drożyznę, ogół zaś wydaje się zadowolonym... e bene!... Pożegnawszy wreszcie, i literata, szukającego tu natchnień i swobody do pracy, i pedagogów, wypoczywających po zmudnych zapasach z troską i trudem codziennym i wśród deszczu towarzyszącego mi stale, przeprawiłem się za Wisłę, i w Górze Puławskiej, wśród ław piaszczystych wznoszącej się wioszczynie, nająwszy parę chabetów ruszyłem w imię Boże do Oblas, już w Kozienickim powiecie, położonych. Oblasy, wieś spora, w pięknej lesistej okolicy, do ostatnich niemal czasów cząstkę stanowiła tak zwanych dóbr Janowieckich. Odległa jest w istocie zaledwie półtory wiorsty od Janowca. Któż nie zna, kto nie słyszał o Janowcu, tej, w dziejach wsławionej rezydencyi polskich magnatów. Siedziba ongi potężnej wpływami w kraju, dostatkiem i znaczeniem, w XV i XVI mianowicie wieku rodziny Firlejów, zamek Janowiecki, różne przechodząc koleje, należał spadkowo w XVII w. do Tarłów, w XVIII wieku do Lubomirskich, od których wreszcie przeszedł drogą kupna do Piaskowskich. Za naszych już czasów dzierżyli Janowieckie dobra Osławscy. Saturn, niepowstrzymaną kosą wyszczerbił tu, lub zniszczył wszystko dokoła, ruiny tylko zameczku sterczą dziś na wzgórzu, panując nad całą u stóp jego korzącą się, romantyczną, prześliczną okolicą. Historya Janowca, gdyby ją żywem słowem ująć w opowiadanie, byłaby szkicem romansu, w którymbyś znalazł wszystko: grę ludzkich namiętności tak dobrze jak i burze dziejowe, cudowną legendę obok rzeczywistych bólów, a nie zabrakłoby i Radcliftowskich efektów! Dziś, dla wielu to już hieroglif.

Między 1756—60 r. z kroniką Janowieckiego zamku łączy się ostatnie bodaj historyczne wspomnienie, przebywającej tamże Franciszki Krasińskiej; starościanki Nowomiejskiej, ukochanej tak szczerą miłością przez królewicza Karola, księcia Kurlandzkiego. Ówczesny pan na Janowcu, książę Antoni Lubomirski, kasztelan Krakowski, marszałek dworu synów Augusta III-go, (ożeniony z Krasińską, ciotką późniejszej księżnej Kurlandzkiej) pośredniczył, jak wiadomo, u siebie na zamku, widywaniu się i schadzkom wysoko położonych kochanków. Królewicz Karol zamieszkiwał podówczas znajomą już nam oficynkę zamkową, pokoje zaś Franciszki znajdowały się w jednej z baszt samego zameczku. Okna królewicza wychodziły wprost na pomienioną basztę. Co rano przeto, niby rycerz średniowieczny, białą z otwartego okna powiewając chustą, porozumiewał się ze starościanką. A ileż to przysiąg i westchnień, ile pereł prawdziwego uczucia, o ściany się starego obiło zamku! Upłynęło odtąd niemało wody w Wiśle. Znane są dzieje późniejsze sympatycznej pary książęcej. Poślubiwszy tajemnie Franciszkę, (1760 r.) królewicz Karol, w zmiennych losu kolejach przechował dla towarzyszki swej święte uczucie najczystszej miłości. Przyświecało mu ono niby gwiazda promienna w ciągu całego żywota. Franciszka była mu radą i chlubą w szczęśliwych chwilach, pociechą, w ciężkie dni... Utraciwszy skarb swój tęsknotą trawiony, w trzy zaledwie miesiące legł w grobie (1795 r.). Tyle o Zamczysku.

(d. c. n.)

Życie kwiatów.

(Z Kellnera).

Miłe kwiateczki, nadobne dziatki,
Wyście pociechą ziemi, swej matki;
Ona was zawsze najpiękniej stroi,
Czule ochrania u piersi swojej.

Matuchnę trapi dotkliwa dola—
Gdy huczy wicher przez lasy, pola
I mrozem w wasze oblicze wionie:
Kryje was skrzętnie głęboko w łonie.

Śpicie, kwiateczki, nadobne dziatki.
Słodko w objęciach kochanej matki,
Co pieści, chroni i na was chucha,
Aż ciepły wietrzyk znowu zadmucha.

Wtedy wznosicie główki z osłonek
Do blasku słońca, co zdobi dzionek,
Stroicie pola, łąki i lasy—
Czarem uśmiechu, wdziękiem swej krasy.

Kwiateczki, jakby dzieciny nasze,
Strumyki stopki całują wasze,
A ptaszki, skacząc na leśne krzewy,
Na pozdrowienie niosą wam śpiewy.

A gdy słoneczko wspaniale wschodzi
W tęczy barw swoich, świateł powodzi,
Spogląda na was w pełni i czarze,
Czułe całusy niesie wam w darze.

Wkrótce znów pszczółki z chęcią zdobyczy,
Poją usteczka w waszej słodyczy;
Brzęczą i szumią, miło szeleszczą,
Motyle także z wami się pieszczą.

Przed niemi człowiek z piersią bijącą,
Z duszą w radości szczerej płonącą,
Szle wam najczulsze swe pozdrowienie
I dla was święci najmilsze pienie.

Kwiatki, z wdzięczności wypuśćcie wonie,
Które mieścicie w czarownem łonie;
Ożywczy balsam, tchnienie tak zdrowe
Zastąpi z wami czułą rozmowę.

Pędzicie życie słodkie, miłosne,
Zefir was muska przez całą wiosnę,
A gdy północny wicher zawionie,
Spoczniecie znowu w matuli łonie.

Józef Chmielewski.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

Zostawszy sama, pani de Lorcy napisała do pana Moriaz, następujący list:

dnia 16 sierpnia 1875 r.

„Wymagasz kochany przyjacielu, abym była bezstronną. Dlaczego bym nią być miała? Prawda że marzyłam o pewnem małżeństwie, lecz kiedy jedna strona nie dała sobie o tem mówić, druga rozmyśliła się po dłuższym czasie. Projekta moje rozwiały się więc; Kamil nie chce już nawet abym mu o tem wspomniała. Widzisz pan że nie mam w tej sprawie innego interesu, jak tylko szczęście Antosi, której równie dobrze życzę, jak jej własny ojciec. Proszę jednak abyś jej listu mego nie pokazywał, możesz wszelako przeczytać jej niektóre ustępy jakie sam uznasz za stosowne.

„Przedewszystkiem powiem co myślę. Posądzano mnie że jestem pełną przesądów; to fałsz niegodziwy! Objawię tu moje przekonania, sam pan osądź czy są słuszne. Opłakuję ten nieszczęśliwy zwyczaj, jaki wkradł się między nas, zwyczaj uważania małżeństwa, za interes, za rodzaj assocjacii majątkowej, lub handlowej. Zwyczaj ten oburza mnie i gniewa. Posądzają nas że jesteśmy narodem niemoralnym. Nie prawda, jesteśmy równie cnotliwi jak Anglicy i Niemcy, a nawet kto wie czy nie więcej u nas znajdzie się cnoty. Ale z drugiej strony jesteśmy zanadto rozsądni, rozważni, lękliwi; brak nam śmiałości w przedsięwzięciach, chcielibyśmy zawsze stąpać po silnym i pewnym gruncie. Chcemy zawsze pewności, nie lubimy próbować, przewidujemy za wiele, a przewidywać to znaczy: lękać się. Czy podzielasz pan moje zdanie?

„Napoleon I mawiał, że przed wydaniem bitwy tak się zabezpiecza, aby na sto, mieć siedmdziesiąt środków obrony za sobą, resztę zostawiał losowi. Życie, to ciągła walka, ale ludzie dzisiejsi nie chcą nic pozostawić losowi, dziś każdy chce być rozsądnym, nikt poetycznym. Smutna to prawda. Przeczytaj pan Antosi następujący ustęp mego listu. Nasza młodzież rości sobie prawo, do rodzicielskiego mienia, zdaje im się że ojciec nie zostawiający synowi majątku, nie wypełnił swego obowiązku. Drugą przewodnią ich myślą jest, wyszukanie sobie żony, któraby im przyniosła w posagu co najmniej drugie tyle ile posiadają sami.

„Mam tyle, ty masz tyle, jesteśmy jak by dla siebie stworzeni, pobierzmy się.“ Wszystko to bardzo smutne! Mówicie mi o młodym Amerykaninie, ten od rodziców nic nie żąda, prócz wykształcenia za pomocą którego toruje sobie własną dłonią drogę przez życie, dadzą mu narzędzie, pokażą sposób użycia tegoż, ale ani grosza do ręki. Nauczyłeś się pływać, pływaj przyjacielu. Potem, żeni się zwykle z kobietą która nie ma żadnego posagu, a lubi pieniądze wydawać. Od tego ma głowę na karku, by sterował łódź swoją! Bożek Dolar ma go w swej opiece: on dzielnie idzie przez życie, za nim postępuje najczęściej dziesięcioro dzieci, ucząc się jak szukać chleba, do chwili w której znów każde z nich samodzielnie uchwyci za ster swego statku. Niech

głód żeni się z pragnieniem, bo to są właśnie szczęśliwe małżeństwa, i z nich powstają silne narody. Sumiennie mówiąc czy jestem marzycielką?

„Pozwól mi przedstawić inny wypadek. Otóż człowiek bogaty, korzysta ze swej niezależności, by pojąć żonę bez majątku, którą ukochał całą potęgą miłości. Na ten widok radość ogarnia me serce, żałuję tylko że u nas podobnych zdarzeń tak mało. We Francyi niełatwo spotkać księcia żeniącego się z pasterką, lecz za to widuje się często synów pięknych, ale z ubożałych rodzin, polujących na posag bogatej dziedziczki, i oto co mnie najwięcej oburza. W romansach, na scenie, bardzo to efektowna osobistość, ubogi młodzieniec żeniący się z milionem; w codziennem życiu, rzecz się ma wcale inaczej. Niechże ów ubogi młodzieniec ma przynajmniej w ręku rzemiosło, które mu pozwala zarabiać na utrzymanie niezależne od dochodu żony, to rzecz inna. Lecz jeźli od niej jedynie chce mieć każdy kęs powszedniego chleba, mieszkać w jej domu, biorąc od niej pieniądze na stroje i przyjemności własne; człowiek taki nie ma poczucia osobistej godności, a gdy tego mu brak, cóż się po nim spodziewać można? W końcu któż nas zapewnić może, iż żeniąc się młodzieniec taki jest zakochany w kobiecie nie w jej posagu? Któż nam zaręczy za hr. Abla Laryńskiego? Nie ubliżam nikomu i przyznaję że są na świecie wyjątki, ale jakże rzadko trafia się na nie. Ja na miejscu Antosi kochałabym ubogich; ale dla ich własnego dobra nie chciałabym zostać żoną jednego z nich, gdyż idzie tu o dobro społeczeństwa. Biedaki są to częstokroć ludzie bardzo przemyślni, pozwólmyż im rozwijać ten zmysł, niech rozmyślają nad wynalazkami; dajmy im tylko klucz do pełnej szkatuły, a przestaną poszukiwać i myśléć, stłumiliśmy w nich geniusz. Od lat piętnastu nie jedno skojarzyłam małżeństwo, kochany profesorze. Ożeniłam trzy razy głód z pragnieniem, i Bogu dzięki nakłoniłam milionera do ożenienia się z panienką niemającą złamanego grosza, ale nigdy nie pomagałam biedakowi, do poślubienia panny z posagiem. Oto moje zasady i przekonania... Będziesz mnie pan dłużej słuchał? Zasypiasz niekiedy gdy ci prawię kazanie, to prawda... No tym razem obudź się i słuchaj dalej.

„Widziałam waszego polaka i powiem wam, że dodobał mi się tylko do połowy. Ma bardzo piękną głowę, tego trudno nie przyznać, rzeźbiarzowi mogłaby się na co przydać. Dodam także że ma ładne oczy z kolei tęskne, łagodne, śmiejące się i głębokie. Nie mam nic do nadmienienia przeciw jego obejściu, może się on podobać a nawet nie jest wcale ograniczonym. Z tem wszystkiem jest w nim coś, co mnie zadziwia, jakoby połączenie dwóch istot odrębnych, którego wytłomaczyć sobie nie mogę. Stosownie do okoliczności, widać w nim lwa i lisa; zdaje mi się że lis jest jego własnością, lew pożyczką tylko. Podaję tu moje pierwsze wrażenie, może po bliższem poznaniu zmienię zdanie. Wyobrażam sobie że pan Laryński pierwsze dnie swej młodości, spędził w otoczeniu bardzo pospolitem. Później otarł się o lepsze towarzystwo, a że ma wiele bystrości, a nawet nie brak mu rozumu, łatwo mu przyszło przeistoczyć się jak tego pragnął; ale na dnie zostało jeszcze trochę tych zabytków i zwyczajów pierwszej młodości. W czasie bytności u mnie, dwa razy zrobił znak krzyża oczyma, tak jak to robi zwykle lichwiarz wchodząc do mieszkania swego klienta; aby zbadać i oszacować wszystko razem i każdy przedmiot z osobna. W tej to właśnie chwili widziałam w nim całego lisa.

„Ale nie na tem koniec. Czytałam niedawno w jakiejś duńskiej bajce, że pewna księżna podróżująca po świecie, stanęła jednego wieczoru u bram królewskiego pałacu, prosząc o gościnność. Czy była to prawdziwa księżna, czy tylko zwykła awanturnica? Królowa chciała się o tem przekonać. W tym to celu przygotowała sama łóżko na które położono kilka najmiększych materaców, ale między nie, wsunięto trzy ziarnka grochu. Nazajutrz zapytano podróżnej czy dobrze spała.—Bardzo źle, odparła, nie wiem co było w tem łóżku, ale całe ciało mam odgniecione, i nie mogłam zmrużyć oka do rana. To prawdziwa księżna! zawołała królowa. Czy pan Laryński jest prawdziwym hrabią? Wzięłam go na próbę trzech ziarnek grochu. Zapytywałam go w sposób naglący, nieoględny; on nie zdawał się spostrzegać mej niedelikatności. Odpowiadał chętnie i uniżenie, chciał mnie zadowolnić, i wcale mnie nie zadowolnił. Zobaczę go znów jutro, przyjdzie do mnie na obiad. Chciałabym samą siebie przekonać że jest prawdziwym hrabią.

„Kochany profesorze jesteś najnieostrożniejszym z ludzi i co bądź się stanie, gniewaj się sam na siebie. Nie wprowadza się tak łatwo do domu ludzi obcych. Powiesz że z łaski pana Laryńskiego, masz całe ręce i nogi. Dziękuję za to, ojciec powinien woléć złamać nogę w trzech miejscach, jak wydać córkę za awanturnika. Nogę łatwiej złożyć.

„Post-scriptum. Otwieram drugi raz list mój aby wam dowieść do jakiego stopnia jestem sprawiedliwą i bezstronną. Wiecie że ksiądz Miollens, mój sąsiad, przebywał długi czas w Polsce i że jest bardzo dobrze widziany w „hôtel Lambert“. Prosiłam go o zasięgnięcie wiadomości naturalnie nie wtajemniczając go w całą tę sprawę. Donosi mi właśnie że pan Laryński jest prawdziwym hrabią. Ojciec Abla, jego marzenia, Ameryka, wszystko to jest prawdą. Hrabina Laryńska była rzeczywiście świętą kobietą. Co do syna, nikt nic o nim nie wie, musiał mieć trzy lub cztery lata gdy rodzice jego wylądowali w New-Jorku. Nikt go nigdy nie widział, lecz mówiąc prawdę o rodzicach, czemuż by miał kłamać gdy mówił o sobie? To słuszne lecz z drugiej strony, można być bohaterem i mieć świętą matkę, a przytem nie posiadać zalet wymaganych na dobrego męża. Po tych wiadomościach, muszę cofnąć nazwę: awanturnik, którą mu chętnie nadawałam, co do reszty, zostaję przy swojem. Czemu robi znak krzyża oczyma? Czemu śpi jak zabity w łóżku z trzema grochami? To jeszcze nie wytłomaczone.

„Ucałuj pan ode mnie Antosię, kłaniaj się proszę pannie Moiseney, nie mówiąc jej jednak że jest do niczego, ja bo umrę z tem przekonaniem. Powiedz pan czy naprawdę było tak trudno zejść z tej skały?“

W trzy dni potem pani de Lorcy pisała drugi list do pana Moriaz:

dnia 18 sierpnia.

„W tej chwili odbieram wiadomości z Wiednia, o które prosiłam naszego przyjaciela barona B... pierwszego sekretarza przy ambasadzie francuzkiej w Austryackiej stolicy. Hrabia Laryński uważany jest tam za człowieka pełnego zalet towarzyskich, za wynalazcę więcej śmiałego niż rozsądnego, za trochę szalonego utopistę. Nie mówię tu o jego strzelbie, wiesz o niej więcej niż ja. Sąd ogólny o niej jest: że wynalazca łączy w sobie geniusz z niedoświadczeniem i nieznajomością rzeczy. O codziennym życiu człowieka, mało jest do powiedzenia. Mieliśmy trochę długów i kredytorowie zatrwożyli się nieco, gdy pewnego poranku, cichaczem opuściliśmy Wiedeń. Ale wkrótce ze Szwajcaryi nadeszły pieniądze, które pokryły wszelkie należności. Jest to piękny rys charakteru. Po za obręb tego mamy podobno nawyknienia umiarkowane, usposobienie spokojne i jedynie owa strzelba sprawiła ten finansowy nieład. Dodam także że w Wiedniu, pan Laryński bywał w kilku domach bardzo przyzwoitych, gdzie zostawił najlepsze wspomnienie. Był poszukiwany w towarzystwach głównie dla swego muzykalnego talentu. Gra podobno zachwycająco na fortepianie i ma piękny głos, który mógłby mu zapewnić przyszłość w operze, ale jego stanowisko w hierarchii społecznej nie pozwoliło mu pójść tą drogą. Oto co mi donosi baron B... Przysięgam na honor uczciwej kobiety, że nic nie ujmuję ani dodaję.

„Teraz zadziwię pana wyznaniem, że zaczynam się godzić z panem Laryńskim. To co mnie w nim raziło, usprawiedliwia się jego długim pobytem w Ameryce. Są to widocznie nawyknienia Jankesów. Nietylko że nie jestem uprzedzoną względem niego, ale owszem ma on u mnie pewne wyjątkowe łaski. Wiesz pan iż wątpię aby on naprawdę myślał o twojej córce. Podoba mu się jako człowiekowi mającemu wiele dobrego gustu—a pożałowałby srodze gdyby mu się niepodobała. Zdaje mi się że Antosia niepotrzebnie sobie zaprzątnęła nim główkę. Mówi o niej zawsze tak spokojnie jak o pięknem dziele sztuki, ale niepodobna uwierzyć aby był zakochany. Próżno patrzę w jego zielone oczy nie dostrzegam w nich wilka.

„Jak to wam donosiłam w przeszłym liście, przyszedł do mnie na obiad. Zaprosiłam też księdza Miollens, a Kamil wprosił się sam, obiecując mi że będzie grzeczny i obojętny jak filozof; dotrzymał tylko na wpół obietnicy, bo muszę objaśnić pana, że mój siostrzeniec nie wiem dla czego powziął dziwną antypatyą względem pana Laryńskiego, on podlega niekiedy takim fantazyom. W czasie obiadu ksiądz Miollens, sławny podróżnik, znający Polskę i Polaków, zaczął bardzo ożywioną rozmowę, w której pan Laryński brał czynny udział, mówiąc więcej o drugich niż o sobie; rozwijając przed nami nader zajmujące przedmioty; wspomniał o rodzinnych stronach i nagle głos mu zamarł w piersi, oczy zwilżyły się łzami i przestał mówić. Szczęściem nie spojrzał w tej chwili na Kamila, na ustach którego zaigrał brzydki uśmiech. Młodzież francuzka jest tak pełna sceptycyzmu! Spojrzałam na niego srogiemi oczyma, a po obiedzie wysłałam go z cygarem do parku.

„Muszę przyznać że pan Laryński bardzo się podobał księdzu Miollens, który zwykle niezbyt pobłażliwie sądzi. Pan wiesz już że ksiądz ten jest sławnym skrzypkiem, posłał więc po swój instrument; pan Laryński usiadł do fortepianu i zagrali razem koncert Mozarta. Była to muzyka niebiańska, wykonana przez aniołów najprzedniejszego gatunku. Rozmowa którą potem prowadzono, zachwyciła mnie jeszcze więcej niż koncert. Nie wiem przez jakie czary zaczęliśmy mówić o małżeństwie. Nieomieszkałam naturalnie, niby od niechcenia, objawić moje zasady, które wam są znane. Czy uwierzycie że hrabia przeszedł mnie w skrupulatności w tej mierze. Jest więcej monarchiczny niż sam monarcha i nie przypuszcza żadnych wyjątków w regule. Podług niego, człowiek ubogi, żeniący się z kobietą majętną, jest pozbawiony poczucia honoru, człowiek taki poniża się, zaprzedaje. Powiedział to wszystko z przejęciem i niepojętą wymową. Zaręczam że wtedy lew, nie był ani trochę do lisa podobny.

„Po wyjściu tego pięknego artysty, wielkiego mówcy, ksiądz Miollens, zostawszy ze mną, przesadzał się w pochwałach nad jego rozumem, obejściem, znalezieniem się w towarzystwie; zdawało mi

się że za daleko zaszedł. Żałowaliśmy oboje że taki człowiek musi zarabiać na życie w sposób tak niekorzystny. Ksiądz Miollens obiecał mi że wystara się dla niego o urząd odpowiedni jego zdolnościom. Przypomniał sobie, iż w Londynie zamierzono założyć międzynarodową szkołę języków żyjących. Jeden z założycieli wypytywał go właśnie, czy nie ma do zarekomendowania mu profesora słowiańskich języków. Było by to zajęcie stworzone dla waszego Polaka, który tem samem zyskałby niezależne położenie i znaczne stanowisko w świecie. Po tem wszystkiem czy będziesz mi pan jeszcze wymawiał że jestem uprzedzoną względem niego?"

W tydzień potem pani de Lorcy pisała trzeci list.

25 sierpnia.

„Jestem co dzień więcej zadowolona z pana Laryńskiego, gniewam się na siebie za moje posądzenia. Wiedeńczycy mają słuszność uznawać Abla za człowieka pełnego towarzyskich zalet, a ksiądz Miollens nie przecenia go wcale. Ze swej strony piszesz mi kochany przyjacielu, że Antosia zadawalnia cię teraz, że jest wesoła, spokojna, chodzi na przechadzkę, maluje, nie mówi o Ablu Laryńskim, a gdy pan o nim mówisz, uśmiecha się i nieodpowiada. Myślisz że się rozmyśliła, że czas i oddalenie pożądane wywarły skutki. Z oczów, więc i z serca! Czy jesteś pewny że Antosia nic nie ukrywa?

„Co jest rzeczą zupełnie prawdziwą, to że odebrałam od niej, bardzo długi list, w którym nie wspomina nawet o panu Laryńskim, jak by Polska i Polacy nie istnieli na świecie. Wychwala tamtejszą okolicę, mówi że chciałaby całe życie przepędzić wśród tych dzikich skał i urwisk. Rozumiem co chce przez to powiedzieć, i jakby się tam urządziła, przyjmując gości, dając bale, proszone obiady, mając w blizkości konserwatoryum muzyczne i gmach opery. Ostatni rozdział jej listu jest poświęcony cały powstaniu w Hercegowinie, naturalnie że wszystkie jej uczucia są zwrócone ku walczącym. Gdybym była mężczyzną, pisze, poszłabym walczyć za ich wolność. Poznaję ją w tem, wszakże zawsze brała stronę złodziei, występując przeciw policyi. Przypominam sobie jak dawniej, miała wtedy lat dziesięć, opowiadałam jej historyą o podróżnym napadniętym w lesie przez wilków. Otoczony krzakami zapalił dokoła ogień, wilki wpadły w płomienie i popiekły się wszystkie z kolei. Antosia zaczęła płakać rzewnemi łzami; myślałam że ubolewa nad losem napadniętego. Ale gdzie tam. Biedne zwierzęta! zawołała. Już jest taką, nie podobna przerabiać jej teraz. Będzie zawsze brać stronę wilków, zwłaszcza tych, które nie mają co jeść i gdzie się schronić.

„Hr. Laryński jest nader uprzejmy, był u mnie ostatni raz onegdaj, zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Zapytywałam go, czy Paryż podobał mu się zawsze, na co on odpowiedział mi uprzyjmie:—Z wszystkiego co dotąd poznałem w Paryżu, najwięcej pociąga mnie dom pani. I tu dodał jeszcze wiele bardzo przyjemnych dla mnie wyrazów, których nie chcę powtarzać. Obeszliśmy we dwoje park rozmawiając o polityce, i choć uchodzi on za zapaloną trochę głowę, nie brak mu przecież rozsądku. Chciałam wiedzieć czy z przekonania był Turkiem czy Bośniakiem. Na zapytanie odpowiedział mi:—Jako chrześcianin, jako katolik, podzielam całem sercem niedole chrześcian wschodnich, i trzymam z krzyżem przeciw półksiężycowi. Słowa: chrześcianin, katolik i krzyż wymówił z prawdziwem namaszczeniem; posądzam go o wysoką religijność.

„Dałam mu do przeczytania list Antosi, chciałam bowiem przekonać go, że potrafi ona napisać cztery strony, nie zapytawszy nawet o niego. Czytał z uwagą lecz przyszedłszy do miejsca w którem pisze słowa: Gdybym była mężczyzną, poszłabym walczyć za ich wolność, uśmiechnął się, a oddając mi papier rzekł sucho z politowaniem prawie:

— Napisz pani pannie Moriaz, że jestem mężczyzną, a nie idę walczyć za ich wolność.

— Ona jest szaloną, rzekłam, szczęściem te szaleństwa, zmieniają się za każdą zmianą księżyca.

— Cóż robić, odparł, żeby nie być nudnym dobrze być trochę szalonym. Moja biedna matka mówiła mi niekiedy:—Synu mój, w młodości trzeba robić zapasy z poezyi i zapału, inaczej przychodzi się do kresu z pustkami w sercu, bo się za wiele zostawiło po drodze.

„Uspokój się pan po wielkim popłochu, nikt tu nie ma złych zamiarów względem twojej córki, podoba się to prawda, ale nikt nie jest w niej zakochany. Z wielką ostrożnością zapytałam raz pana Laryńskiego o stan jego interesów. Zciągnął brwi nie mówiąc ani słowa. Nie tracąc odwagi zaczęłam mówić o zamiarach i nadziejach księdza Miollens, które jak się dowiedziałam były bardzo uzasadnione. Spostrzegłam iż był niezadowolony, lecz nie pokazał tego. Podziękowawszy mi za dowód przyjaźni i ofiarowaną pomoc, oznajmił... Zgadnijcie co? Cóż mi pan dasz za to co teraz powiem? Otóż oznajmił mi, że za dwa tygodnie wyjeżdża do Wiednia gdzie ofiarowano mu miejsce w kancelaryi ministra wojny. Nie śmiałam zapytać go jakie pobierać tam będzie wynagrodzenie, lecz jeżli ono zadawalnia go, czemużbyśmy mieli być trudniejsi niż sama interesowana osoba. *Za dwa tygodnie!* rozumiesz mnie pan.

„Bardzo się cieszę kochany przyjacielu że woda w Saint-Moritz i górskie powietrze wróciło ci zdrowie, bądź tylko ostrożny, niekompletne kuracye mają niekiedy bardzo złe następstwa. Nie wyjeżdżajcie tak prędko z Churwalden, nagła zmiana powietrza zawsze niedobrze działa. Doktór twój, z którym niedawno rozmawiałam, mówił mi że jeśli przyspieszysz swój powrót, nie ręczy za przyszłość. Nie wątpię że Antosia połączy swoje prośby z naszemi i że nie zobaczymy cię tu jak za trzy tygodnie.

„Słuchaj mojej rady kochany profesorze a zaręczam że wszystko pójdzie jak najlepiej. Kamil opuścił mnie przed chwilą. Staje się co dzień nieznośniejszy, wmawia naprzykład we mnie, że jestem bardzo łatwowierną kobietą. Są to jego własne słowa, prawda że bardzo niegrzeczne. Nie ma już na świecie siostrzeńców jak się należy, a szacunek dla starszych dawno już umarł i pogrzebany".

W dziesięć dni potem pan Moriaz odebrał w Churwalden czwarty i ostatni list od pani de Lorcy.

3 września.

„Tak mój drogi przyjacielu, nie taję ci że hr. Laryński jest niezrównanym człowiekiem, nigdy sobie nie daruję że go kiedyś tak źle sądziłam. Przedwczoraj jeszcze nie znałam całej doniosłości jego cnót i rzeczywistych zalet. Piękna jego dusza jest krainą w której przechodzi się z niespodzianki w niespodziankę, gdzie co chwila czyni się nowe a cenne odkrycia. Między nami mówiąc Antosia jest zaślepioną, zkąd jej przyszła myśl że hr. Abel w niej zakochany? Tacy ludzie jak on miewają niekiedy napady artystycznego zachwytu; wyobraźnia ich poetyczna, serca miękkie i tkliwe, kochają wszystko a nic nie kochają, uwielbiają piękną kobietę, tak jak uwielbiają świeży kwiatek, ładnego ptaka, lub obraz Tycyana. Czy mówiłam ci że kilka dni temu przechadzając się ze mną w parku, wpadł w zachwycenie przed jednym z niebotycznych buków. Uniósł się, zdaje mi się nawet że miał łzy w oczach. Mogłam myśléć że się zakochał w moim buku, a jednak nie prosił bym mu go dała za żonę.

„Nadto, gdyby nawet był do szaleństwa rozkochany w twej córce, nie lękaj się, nie ożeni się z nią nigdy, a to dla tego... Ale zaczekaj pan, muszę zacząć opowiadanie od początku.

„Ksiądz Miollens przyszedł mnie odwiedzić wczoraj, oraz wynurzyć mi swój żal z powodu odmowy pana Laryńskiego, dotyczącej owego profesorskiego projektu.

— Nie ma w tem nic złego, odrzekłam pozwólmy mu wrócić do Wiednia, gdzie zostawił znajomych, przyjaciół, między nimi będzie szczęśliwszym.

— Ja niezmiernie żałuję że się tak stało. Wiedeń tak daleko, pan Laryński będzie dla nas całkiem stracony! Gdy tymczasem z Londynu w dziesięć godzin czasu, byłby tu między nami, moglibyśmy grywać razem, a tak!

„Domyślisz się pan łatwo że te argumenta nie trafiały mi do przekonania; chociaż bardzo polubiłam pana Laryńskiego, jednak chętnie godzę się z myślą o jego wyjeździe, ale ksiądz nie podziela mego zdania.

— Boję się że w Austryi urzędnicy są źle płatni; Anglicy są pod tym względem rozsądniejsi, a lord C... pozwolił mi oznaczyć cyfrę, jaka mi się będzie zdawać właściwą.

— No tak, rzekłam, ale nie jest rzeczą łatwą mówić o tem z panem Laryńskim, w podobnych kwestyach jest on bardzo drażliwy.

— Prawda, odpowiedział, jest to człowiek zachowujący swą godność do najwyższego stopnia, pełen szlachetnej dumy.

„Ksiądz Miollens, który przepada za Horacyuszem twierdząc że temu poecie zawdzięcza swą wysoką znajomość charakterów ludzkich, zacytował mi wiersz łaciński, który w tłomaczeniu znaczy, że niektóre rasowe konie, wspinają się i rżą gdy ich dotknąć w najczulsze miejsce. Tak bywa z Polakami, dodał.

„W trakcie naszej rozmowy wszedł pan Laryński. Zatrzymałam na obiad obu tych panów. Wieczorem znów dali mi koncert. O czemuż nie ma tu Antosi! Słuchając ich grających zdawało mi się że jestem w konserwatoryum; potem rozmawialiśmy długo i ksiądz Miollens, który nie tak łatwo ustępuje od swoich przekonań, zwrócił się nagle do Abla mówiąc:

— Czyś zastanowił się dostatecznie kochany hrabio, nad całą tą sprawą? Gdybyś się pan udał do Londynu mielibyśmy przynajmniej nadzieję widywania cię niekiedy pomiędzy sobą, a przytem wynagrodzenie... Ach! kiedy już to słowo wysunęło mi się niechcący, pozwól pan że ci powiem, iż biorąc na siebie obowiązki profesora, otrzymałbyś wynagrodzenie godne twej wiedzy, twego nazwiska...

„Nie mógł dokończyć swej litanii, hrabia się wspiął jak ów koń Horacyusza i zawołał:—O Mozarcie jakiż brzydki przedmiot do rozmowy wybrałeś! potem dodał poważnie: Jesteś pan zbyt na mnie łaskaw; miejsce ofiarowane mi w Wiedniu jest dla mnie daleko stosowniejsze i więcej ponętne, o ile mi się zdaje, byłbym bardzo złym profesorem, największe nawet wynagrodzenie nie skłoniłoby mnie do przyjęcia na siebie takiego obowiązku.

„Ksiądz probował jeszcze go przekonać, lecz usiłowania jego spełzły na niczem. W naszem stule-

ciu więcej jak kiedykolwiek nie można żyć powietrzem, dodał w końcu ksiądz Miollens.

— Żyłem ja niczem nieraz, odparł wesoło hrabia, a jednak nie uskarżam się na to, mam wyborne zdrowie i wielkie sił zasoby. Nieuwierzycie państwo do jakiego stopnia jestem obojętny na kwestye pieniężne. Nie jest to wcale zaletą, owszem prędzej kalectwem, ale nie darmo jestem Polakiem i w dodatku synem mego ojca. Nie jestem wstanie myśléć poważnie o przyszłości i być oszczędnym jak francuzi. Gdy mam pełne kieszenie wypróżniam je co prędzej, poczem skazuję się na zupełny brak i niedostatek, a nawet rozkoszuję się niemi. Podług mnie nie ma szczęścia bez odrobiny cierpienia, a przytem lubię ostateczności. Od czasu do czasu zdaje mi się że jestem milionerem, wtedy puszczam wodze zachciewkom; nazajutrz nie mam gdzie głowy położyć, co wziąć w usta, a przecież czuję się swobodnym i szczęśliwym. Raz na rok jestem szaleńcem, resztę zaś czasu filozofem.

— Na nieszczęście czasem jeden dzień szaleństwa wystarczy na obalenie szczęścia całej przyszłości filozofa, rzekł ksiądz.

— O uspokój się pan, odparł Abel, moje wybryki nie są tak niebezpieczne. Hamlet swoje szaleństwa podciągał pod pewną regułę, w moich jest też zawsze odrobina rozsądku.

„Wypowiedziawszy to usiadł znów przy fortepianie i jakby od niechcenia przesuwał po klawiszach palce, z pod których wypływała łagodna i smętna melodya. Nagle zaczął śpiewać piosenkę w języku niemieckim, którą ksiądz Miollens mi przetłomaczył. Bohaterem tej piosnki jest zakochany świerk, rosnący na szczycie stromej góry północnej; stoi samotny, tęskni, lód i śniegi pokryły go białym całunem; chwile samotności spędza na przypominaniu sobie jak niegdyś, w odbytych podróżach, spotkał zieloną palmę.

„Pan Laryński śpiewał tę piosnkę wymownie i rzewnie, że ksiądz Miollens był cały wzruszony, mnie zaś zaniepokoiło to trochę. Gdy raz w jakiej bądź kwestyi, doznamy niepokoju, powraca on potem co chwila. Zapytywałam samej siebie, czy on też nie spotkał w Szwajcarskich górach swej palmy, a gdy przestał śpiewać rzekłam obojętnie:—Czy dzień wyjazdu pana jest już oznaczony?

„Przegrawszy perlistą gamę chromatyczną odrzekł: — Niestety, po odebraniu listów na które właśnie oczekuję, wyjeżdżam natychmiast, za tydzień najdalej wypadnie mi pożegnać panią.

— Nim pan opuścisz Paryż, ozwał się ksiądz Miollens, zaśpiewasz nam jeszcze piosnkę o świerku. Śpiewałeś ją z takiem przejęciem że zdało mi się iż opowiadasz historyą własnego życia. Powiedz mi kochany hrabio, czy marzysz niekiedy o zielonej palmie?

„Zagadnięty odpowiedział spokojnie:—Nie mam prawa marzyć, nie jestem już wolny. Ksiądz podskoczył na swem krześle i zawołał:—Czy być może pan jesteś ożeniony!

— Zdawało mi się że mówiłem panu o tem, odparł ze smętnym uśmiechem i prędko zwrócił rozmowę na balet jaki widział wczoraj, a z którego nie zupełnie był zadowolniony.

„Pojmiesz pan łatwo że gdy wyrzekł słowa: Zdawało mi się że mówiłem panu o tem, miałam niekłamaną ochotę rzucić mu się na szyję. Byłam tak szczęśliwą, że lękałam się by nie wyczytał w mych oczach wdzięczności, uwielbienia, radości niezrównanej. Wiem że jest przenikliwy i że dawno spostrzegł niepokój jaki doznawałam z jego powodu. Chociaż może w głębi ducha, wyśmiewał się ze mnie trochę, chętnie mu to przebaczam, taki człowiek posądzony niesłusznie ma przecież prawo mścić się odrobiną ironii. Kazałam zaprządz konie do powozu i odprowadziliśmy go do stacyi kolei. Nigdy za wiele dowodów poważania dla człowieka zacnego, którego los prześladuje.

„A więc cóż ty na to kochany przyjacielu? Czy nie prawda że pan Laryński jest niezrównanym człowiekiem? Wyjeżdża za tydzień, jest ożeniony, źle ożeniony jak się zdaje, bo uśmiech jaki przy tych słowach osiadł na jego ustach, był tak smętny. Przekonasz się że musiał pojąć za żonę przez wdzięczność jaką nizkiego pochodzenia kobietę, która pielęgnowała go w chorobie; bardzo to do niego podobne. Szczęściem rozwody nie istnieją w obec prawa i nawet takie małżeństwa są nierozerwalne.

„Popłoch był wielki, to też teraz chciałabym na uczczenie wygranej, oświecić tysiącami lamp Cormeilles i moją willę. Trzeba otworzyć oczy naszej Antosi, lecz pierwej przygotuj ją pan do tego, bądź ostrożny, a na przyszłość nie wdzieraj się już na strome skały, widzisz bowiem do czego to doprowadzić może.

„Raz jeszcze proszę nie przyspieszajcie waszego powrotu, upały tutejsze są duszące, a to tobie przyjacielu potrzeba jeszcze górskiego powietrza i cieniu jodeł. Żegnam cię kochany profesorze; pisanie przerywa mi ciągle ten brzydki niedowiarek, nieznośny, śmieszny Kamil, który poleca się waszej pobłażliwej przyjaźni.“

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

(Ciąg dalszy).

Z desek teatralnych przechodzimy na odmienne zupełnie pole. Z murów Paryża zostaną wypędzone kilkanaście jeżeli nie kilkadziesiąt miljonów istot żyjących, przyjmowanych dotych czas w stolicy Francyi z największą uprzejmością. Istoty te oskarżane są o samowolne przywłaszczanie cudzej własności, a co gorsza o kilkakrotne morderstwo popełnione na ludziach.

Mówimy tu o pszczołach, które w Paryżu znajdują się w większej liczbie aniżeli można było przypuszczać.

Na górze Montmartre uważanej przez niektórych Paryżan za największą górę w świecie, jeden tylko właściciel posiada przeszło pięćset uli, a i inne części Paryża szczególniej zbliżone ku przedmieściom odznaczają się równem bogactwem.

Zachodzi pytanie czem żyć mogą tak liczne roje pszczół w mieście wielkiem, pozbawionem odpowiedniej ilości roślin, dających im właściwe pożywienie. W tej mierze należy podziwiać dowcip niektórych przemysłowców paryzkich. Wielkie pszczolarnie zakładane są zawsze w sąsiedztwie wielkich rafineryi cukru, do których pszczoły wielki mają pociąg. dalsze przeto działanie pozostawione jest zmysłości miododajnych owadów. Już od wielu lat właściciele rafineryi zanosili skargi do prefektury o szkody robione im przez pszczoły.

Nietylko owady te zabierały syrop przygotowany w innym zupełnie celu, ale nadto kąsały robotników pracujących po większej części bez wierzchniego ubrania. Skargi zostawały bez skutku, policya odmówiła mieszania się do sprawy nieulegającej jej władzy. Właściciele rafineryi zniewoleni byli bronić się samoistnie przeciwko napaści tyle szkodliwych dla nich owadów. Wymyślono różnego rodzaju sidła i pułapki i w jednej tylko rafineryi pana Say, zdołano schwytać kilkanaście kwart skrzydlatych nieprzyjaciół. Radość była krótka z chwilowego zwycięztwa, pszczoły prędko zmądrzały unikając starannie wszelkich podejrzanych naczyń i narzędzi. Rzeczy zostałyby po dawnemu gdyby nie sprawozdania lekarskie udowadniające wypadki śmierci nastąpione z powodu ukąszenia przez pszczoły. Kilka pism peryodycznych poświęconych medycynie zajęło się tym przedmiotem. Ukąszenie zazwyczaj nieszkodliwe, w pewnych jednak wypadkach okazało się śmiertelnem działając z nadzwyczajną szybkością. Niektóre osoby zmarły w pół godziny po zaszczepieniu jadu. Na zasadzie sprawozdań lekarskich i po przeprowadzonem śledztwie, komisya higieczna miasta Paryża wydała uchwałę uznającą zakłady pszolnicze za szkodliwe i niebezpieczne dla ludzi; robiąc wniosek usunięcia z miast roi pszczolnych i pomieszczenia takowych w okolicach odosobnionych. Związek więc tak odwieczny człowieka z pszczołą, przynajmniej na miejskim bruku, dąży do rozbratu, niejako do rozwodu, którym Paryżanie bardzo się zajmują.

Nie można się temu dziwić. Pierwszy wnioskodawca Naquet jest niezmordowany, propaguje swoje zasady już nietylko piórem ale i ustnie; obiega ważniejsze miasta Francyi, urządza odczyty, aby tylko pozyska jak największą liczbę zwolenników dla swoich zasad. Przyczyna tej gorliwości wiadomą jest dokładnie, ponieważ sam w liście pisanym do jednego z redaktorów paryzkich określa ją bez żadnych obsłon. Sam żyd z urodzenia wziął ślub cywilny z katoliczką, ale za wspólną zgodą mieli wychowywać potomstwo bezwyznania. Troje pierwszych dzieci zmarło w latach młodocianych, przerażona matka postanowiła czwarte wychować w religii katolickiej. Złamanie umowy przedślubnej było nader dotkliwe dla męża, z tego względu nastąpiły nieporozumienia i zerwanie wspólnego pożycia. Naquet, jak zapewnia, nie ma zamiaru korzystać osobiście z rozwodu, a tem mniej żenić się, ale ze smutnego doświadczenia przekonał się, o ile węzeł nierozerwalny jest niekiedy nieznośnym; nawet między ludźmi szanującemi się wzajemnie. Apostoł rozwodu jest więc nader czynny ale i strona przeciwna nie próżnuje.

Mamy właśnie przed oczami grube dzieło pod tytułem „Małżeństwo i obyczaje we Francyi“ napisane przez Ludwika Legrand.

Uważa on małżeństwo za główną podstawę siły moralnej narodów, a za szkodliwe wszelkie zamiary zmierzające do zaprowadzenia w sposób mniej więcej otwarty i wyraźny wielożeństwa. Rozwody, powiada sprowadzają niekiedy wypadki gorszące nawet.

W jednej z rzeczpospolitych amerykańskich autor znajdował się na weselu rozwódki, na której ślub zaproszono ośmiu żyjących mężów. W takiem położeniu o moralnem wychowaniu dzieci, o wpojeniu w ich serca stałych zasad nie może być nawet mowy. Małżeństwo przestanie być uciążliwem, skoro nie będzie przedmiotem spekulacyi pod każdym względem, czy zawartem w chęci ubogacenia się, czy weiśnięcia się do imion świecących blichtrem starego szlachectwa.

Zdania powyższe bardzo sprawiedliwe łatwiej je jednak udzielić jak wykonać. Idźmy jednak dalej. Autor oświadcza że trzeba umieć ożenić się właściwie, a czynność ta jest trudniejszą aniżeli się zdaje na pozór. Pierwszym warunkiem zgodnych stadeł małżeńskich jest odpowiedniość wieku. W ogóle mężczyźni żenią się zapóźno a kobiety wychodzą zamąż zawcześnie. Wiek dojrzały który marzy o wypoczynku, po życiu często zbyt burzliwem, nie może odpowiadać skłonnościom kobiety która dopiero żyć zaczyna. Zbyt młode małżeństwo jest równie niewłaściwe jak i zbyt podeszłe, ostateczności zazwyczaj stykają się.

„Jeżeli jednak do małżeństwa potrzeba pewnej dojrzałości umysłu, mówi Ludwik Legrand, to nic nie daje większej dojrzałości jak samo małżeństwo. Zaciągnięta odpowiedzialność wywiera ważny wpływ na nasz umysł. Dwudziesto pięcioletni małżonek patrzy poważniej na życie, aniżeli nie jeden trzydziestoletni kawaler. Zresztą jeżeli młodzi małżonkowie stracą we wspólnem pożyciu złudzenia, z jakiemi patrzyli na świat i ludzi, moralny ich węzeł będzie jeszcze ściślejszym."

W tem miejscu można przytoczyć dowcipnie wypowiedziane określenie Franklina:

„My Amerykanie, mówi on, żenimy się w poranku żywota, około południa dzieci nasze wychowane stoją o własnych siłach, całe więc popołudnie i wieczór pozostaje nam do wypoczynku."

Niestosowność wieku jest zazwyczaj pierwotną przyczyną zazdrości, niweczącej główny warunek małżeństwa: wzajemne zaufanie.

Na zdania powyższe prawdopodobnie zgodzą się wszyscy bez wyjątku, inny jednak ustęp dzieła pana Legrand nie znajdzie z pewnością ogólnego uznania. We Francyi jest zwyczaj, mówi on, otaczania grzecznościami każdą piękną kobietę, czyli używając określenia czysto polskiego, nadskakiwania.

Grę tego rodzaju uważa uczony francuzki za bardzo niebezpieczną, poniesione trudy i starania wymagają zawsze pewnej nagrody, a co gorsza wprawni awanturnicy pod maską zwykłej uprzejmości dla płci pięknej, mogą bezkarnie zastawiać sieci nie wywołując w sercu niewieściem najmniejszej trwogi.

Prawdopodobnie szanowny Autor dźwiga na swoich ramionach większą połowę stulecia, broda jego biała a czaszka ogołocona z włosów, czyli posiada wszystkie piętna starości, która wedle zdania zacnego Toussenela, jest prawdziwą zniewagą rodu ludzkiego. Gdyby wiek jego dał się ująć trzema a najwięcej czterema krzyżykami z wszelką pewnością nie przyszłoby mu na myśl, aby na kobiety młode i piękne patrzyć wzrokiem ponurym i pełnym surowości. Z podobnem usposobieniem gdyby został prawodawcą obyczajów, prawdopodobnie kazałby kobietom europejskim za wzorem Turczynek włożyć zasłony na twarze, a dla większego bezpieczeństwa, rozdzielić murem chińskim dwie połowy rodu ludzkiego. Przy całej jednak powadze, szanowny autor jest prawdziwym Francuzem w całem znaczeniu tego wyrazu, naganiając zbytnią uprzejmość dla kobiet, sam dopuszcza się tego samego grzechu jako autor, nie wypadkowo zatem ale z rozmysłem. Wedle niego przyczyną wszystkiego złego w świecie są mężczyzni nigdy kobiety, pierwszym nie oszczędza srogich zarzutów, dla drugich serce jego przepełnione jest najwyższem współczuciem i pobłażaniem. Dla szczęścia kobiet potrzeba aby mężczyzni żenili się wcześnie, jeżeli nie pomyślą o tem w czasie właściwym, małżeństwo powinno im być wzbronione bezwarunkowo w wieku późniejszym.

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

WYKŁAD PUBLICZNY

o pierwotnym rozwoju chrystyanizmu

miany przez **Ernesta Renan** w Londynie.

Walki religijne wypełniające wieki średnie nie ustały ale uległy zupełnemu przeobrażeniu. Dawniej dogmaty wstrząsały umysłami, wywołując nietylko subtelne spory teologiczne, ale co gorsza, uzbrajając dłonie przeciwników do krwawej walki. W wieku XIX rozprawy o dogmatach prawie ustały, spory przeniesione zostały na pole obszerniejsze i najmniej spodziewane, dotyczące głównej podstawy, z której wyprowadzone są wszystkie prawa moralne a tem samem i religijne. Dla jednych świat cały będąc dziełem wypadku, wytworzony został bez przyczyny i celu; prawa uważane za stałe i nie zmienne powiadają oni, są tylko koniecznemi warunkami bytu, bez których materya nie posiadałaby warunków swego rozwoju. Przez stopniowe udoskonalanie się, jedne i te same żywioły mają dochodzić dopiero w człowieku do świadomości swego istnienia, a w dalszym ciągu swej pracy wytwarzają elementa do wytworzenia Istoty Najwyższej, będącej połączeniem przeszłych, teraźniejszych i przyszłych pokoleń ludzkich. W tym stanie rzeczy, byt jakichkolwiek praw moralnych stanowczo ulega zaprzeczeniu, a jedynym ideałem dla człowieka i narodu powinien być dobrobyt materyalny, jako dający szczęście, przy zachowaniu tylko jedynego warunku koniecznej równowagi w użyciu. Dla wykazania zaś o ile prawa dotyczące moralności są zmienne, przypominają aż do znudzenia o owym obyczaju w Sparcie, wynagradzania złodziei a karania ludzi okradzionych, za okazany brak przytomności i pewnego rodzaju niedołęztwo umysłowe. Sofiści tegocześni, jak ich słusznie nazwał Gratry, znakomity filozof chrześciański, wszedłszy raz na niwę tak urodzajną nie zatrzymują się w połowie, ale usiłują wykazać nicość praw nawet dotyczących materyi.

W tem znaczeniu wiek XIX przyspasabia materyały do wielkiego przełomu w dziejach ludzkości. Znakomici myśliciele wskazują byt praw stworzenia dotąd nieznanych, na których bliższe oznaczenie potrzeba będzie pracy wielu dziesiątek lat jeżeli nie więcej. Pomysły ich chwytają ludzie bez odpowiedniego namaszczenia, obdarzeni pewną siłą imaginacyi i łatwości słowa, a szczególniej odwagą i pychą nadzwyczajną. Nie dorzucili oni wprawdzie ani jednej cegiełki do nowego kierunku prac, ale mając ukazany choć jeszcze bardzo zamglony punkt wyjścia, do odkrycia pewnych tajemnic stworzenia, przeskakują niewiele się troszcząc o loikę, nieujęte rozumem ludzkim stopnie pośrednie, rozprawiając z wielką pewnością o stworzeniu świata, na zasadzie praw naturalnych.

Rozumowania ich jednak mniej więcej zręczne i dowcipne, dochodzą jedynie do pierwotnego atomu, mającego być podstawą wszechświata.

Dręczeni pytaniami zkąd się wziął ten atom, mają dwojakiego rodzaju odpowiedzi: jedni mówią: nicość posiada własność tworzenia pierwotnych atomów; drudzy odpowiadają: a nam co do tego, po co zatrudniać umysł pytaniami niepodobnemi do rozwiązania? Obydwie te odpowiedzi rozebrane ściśle, obalają cały system pozytywistów ułożony pracowicie.

Cóż to jest nicość która wszystko tworzy? Czyż w takim razie nie schodzimy do nędznej walki o wyrazy, zastępując Boga chrześciańskiego nicością, która wszystko tworzy lub bogiem pozytywistów pisanym przez małe *b*. Jeżeli zaś odrzucimy naukowe badanie pierwotnej przyczyny i ostatecznego celu wszechświata, aż do chwili w której posuwając się stopniowo, zbierzemy dostateczne dane naukowe wyjaśniające należycie te wielkie tajemnice, w takim razie prostem następstwem, należy utrzymać powagę objawienia, i nie pozbawiać ludzkości odwiecznej dźwigni moralnej, kiedy jej nie można zastąpić inną ideą odpowiedniej potęgi.

Każdemu jednak należy oddać właściwą mu zasługę.

Twórca pozytywizmu August Comte, wskazując zasadę matematyczną posuwania się od rzeczy znanych do nieznanych, za podstawę do nauk moralnych, wskazał tem samem ważność historyi, mogącej udzielić wiele danych, do rozwiązania najbardziej zawiłych zagadek. Rzeczywiście, historya należycie zrozumiana, jest obrazem rozwoju ducha ludzkiego przez wiele tysięcy lat; można z niej wydobyć wiele idei, nie powiemy wrodzonych, aby nie obrażać ucha materyalistów, ale ostatecznie wiele idei będących koniecznym warunkiem bytu rodu ludzkiego.

Wielkości ziemskie jakoteż różnego rodzaju sofiści mogą te prawa obrażać lub przeczyć ich bytu; prawda jednak zawsze i wszędzie odniesie ostateczne zwycięztwo, i prowadzić będzie składowe części ludzkości do naznaczonego im celu. W dzisiejszym wieku krytycznego rozbioru, księgi objawienia nie wystarczają do walki z materyalistami, potrzeba koniecznie znaleźć prawidła z wywodów naukowych. W tym właśnie celu uczony a zarazem bogaty Anglik Robbert Hibber, zostawił znaczny zapis na wytworzenie nowej katedry, mającej na celu upowszechnianie pojęć chrześciańskich opartych na nauce jako będących główną podstawą prawdziwej cywilizacyi.

W roku bieżącym jeden ze znakomitych uczonych francuzkich, Ernest Renan, zaproszony został do Londynu celem odpowiedzenia na stawione pytania: o ile chrystyanizm jest dziełem rzymskiem, czyli innemi słowy o ile Rzym przyczynił się do rozwoju chrystyanizmu. Ogromna sala przepełniona była słuchaczami: Anglicy bowiem jako naród wielce pozytywny we właściwem znaczeniu tego wyrazu, przywiązują wielką wagę do pojęć religijnych, uważając słusznie bezwyznaniowość jako oznakę moralnego upadku. Wzmiankowany uczony francuzki, zostawał czas jakiś w otwartej walce z kościołem; nieprzyjaciele wszelkich religii bez wyjątku chcieli go koniecznie uważać za jednego ze swoich, omylili się jednak.

Ernest Renan posiadając umysł wszechstronny niezdolny jest zniżyć się do służenia stronnictwu, a tem mniej kateryjce. Poznawszy błędny kierunek swoich prac początkowych, wszedł szybko na prawdziwą drogę postępowania, usiłując popularyzować zdrowe wyobrażenia religijne i wykazując całą ich ważność. Każda nauka, a tem samem i teologia, posiada swoje tajemnice, których badanie zostawmy dla wyjątków. Tak też uczynił i uczony francuzki, zwróciwszy swoje usiłowania wyłącznie do badania ducha chrystyanizmu, właściwej mu moralności i jego rozwoju historycznego.

Odczyty dotyczące pytania: o ile Rzym przyczynił się do rozszerzenia nauki chrześciańskiej, odznaczają się nader szerokim poglądem, ciekawym i nauczającym zarazem.

Postaramy się streścić wzmiankowane odczyty, w których prąd pseudo-pozytywny znajdujący swój punkt oparcia aż w Warszawie, znajdzie nader niebezpiecznego zapaśnika w oświeconym chrystyanizmie, który nie dotykając dogmatów, zajmuje się jedynie oznaczeniem uczuć religijnych i prawdziwie cudownym rozwojem takowych.

Szanowny profesor po właściwym zwrocie do zebranych pań i panów, po oddaniu należytego hołdu Anglikom za ich wytrwałość w pracach, mających na celu coraz znaczniejszy postęp nauk, i coraz większy rozwój cywilizacyi, przechodząc do właściwego przedmiotu, zaznacza jedną wielką prawdę stwierdzoną przez historyą, że we wszystkich wiekach bez wyjątku, warunki ziemskiego tylko bytu nie wystar-

czały dla człowieka, ale że sięgał koniecznie myślą i wzrokiem do nieznanej krainy. Ujęcie rozumem nieskończoności było stałym celem jego zabiegów, a jakkolwiek prace tego rodzaju odznaczały się większą szlachetnością aniżeli powodzeniem, w każdym jednak razie wskazywały wybitne piętno człowieczeństwa, odróżniające go w sposób stanowczy od reszty stworzenia. Dalej historya uczy nas, ile to ludzie ponieśli trudów przez zamiłowanie zupełnie bezinteresowne dobra i piękna. Rozważając opisy znajdujące się na jej kartach, uczuwamy mimowolny szacunek dla tej biednej istoty nazywanej człowiekiem, która do cierpień płynących z jej ustroju materyalnego, dodaje samowolne cierpienia moralne bedące następstwem wątpliwości umysłowych walk z namiętnościami, dobrowolnych umartwień cielesnych i moralnych, będących podstawą tak zwanego życia ascetycznego.

Dążności właśnie tego rodzaju, są objawem wrodzonego w człowieku uczucia religijnego, i gdyby nawet żadna z religii znanych na świecie nie ujęła prawdy w całej obszerności, to sam pierwiastek religijny znajdujący się w człowieku jest niewątpliwą oznaką jego wyższego przeznaczenia. Prace wielkich reformatorów i proroków nie zostały stracone, oni po większej części padli ofiarą swego poświęcenia, ale rzucone przez nich ziarno weszło oddziałując na stopniowe udoskonalanie ludzkości. Męczeństwo zaprawdę nie dowodzi jeszcze prawdy, ponieważ wszystkie wyznania bez wyjątku mogą się poszczycić obszerną martyrologią, ale niewątpliwie te są dowodem nieomylnym, o ile pierwiastek religijny ma potęgę niezaprzeczoną. Można napotkać w dziejach bardzo wiele dowodów, że ludzie poświęcali i poświęcają interesa osobiste dla prawdy i sprawiedliwości. W tym kierunku pierwiastkowi chrześcianie okazali największą gorliwość, i pierwsze sto pięćdziesiąt lat po zejściu Chrystusa, jest epoką najwyższego ich zaparcia się i prawdziwego bohaterstwa.

(d. c. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— Coraź więcej rozpowszechnia się nader pożądana wiadomość, iż nowy prezes teatrów warszawskich, prócz wielu zmian nader pożytecznych jakie wprowadzić zamierza, zamyśla jeszcze o wzniesieniu nowego gmachu na operę i balet, a dzisiejszy Wielki teatr przeznaczonyby został wyłącznie do przedstawień dramatów i komedyi po przywróceniu mu pierwotnie zamierzonych rozmiarów. Jedne pisma podają iż nowy prezes dyrekcyi wyjednał na ten cel 1,000,000 rs. zapomogi rządowej, inne że wzniesienia nowego teatru przy Saskim placu, w miejscu gdzie dziś stoją zabudowania ordynans-hausu, podejmuje się jeden z największych bogaczy naszych, hrabia Ludwik Kr... a wyłożony kapitał ma być zwrócony z dochodów teatru, przez roczne odsetki na długie rozłożone lata. Przyszość pokaże o ile jest prawdy w tych nader pożądanych wieściach.

Tylokrotnie zapowiadane przedstawienie „Fausta“ stanowczo na długo odłożone zostało; o przedstawieniach w teatrze letnim nie ma co mówić, gdyż jak zwykle najpierwsi artyści i artystki korzystają z urlopów.

Teatrzyki ogródkowe, pewne wyrobionego stanowiska, spoczywają na dawniej zdobytych laurach.

— Wszystkie prawie pisma nasze powtórzyły wezwanie p. Karola Estreichera o zajęcie się losem znakomitego matematyka polskiego Henryka Niewęgłowskiego, zamieszkałego w Paryżu od 1832 r. Od śmierci nieodżałowanego hr. Jana Działyńskiego, sędziwy autor „Mechaniki rozumowej“ pozostaje w najsmutniejszem położeniu, doprowadzony do nędzy, zagrożony śmiercią głodową. Zmarły hr. Jan Działyński wydawał swoim kosztem pisane przez niego dzieła i miał wydać także pozostałe jeszcze w rękopismach lub będące na ukończeniu:—fundusz z rozprzedaży stanowił całe utrzymanie sędziwego starca. Widać hr. Działyński liczył że spadkobierca wraz z majątkiem przejmie i szlachetne jego dążności, i dlatego nie zobowiązywał go testamentem do wydania dzieł uczonego matematyka. Niestety! dziś odpowiedziano mu że *nie ma na to funduszu*, I oto jeden z najznakomitszych przedstawicieli nauki naszej zagranicą, autor siedmiu ważnych dzieł matematycznych już wydanych i kilku jeszcze na ukończeniu będących, cierpi straszny niedostatek. Należy przyjść mu z pomocą, mówi dr. Karol Estreicher, już to przez kupowanie dzieł jego wprost od niego, już przez zebranie kółka osób dobrej woli, któreby zapewniły utrzymanie zasłużonemu starcowi. Adres jego: G. H. Niewęgłowski, Paris, rue du Départ, gare Montparnasse. Pośrednictwa w przesyłaniu złożonych ofiar podejmują się Redakcye pism peryodycznych.

— W numerze 151 „Wieku“ z dnia 10 lipca podana jest nader żywo kraj cały obchodząca wiadomość, o zapadłem w d. 24 czerwca postanowieniu Senatu w Petersburgu na skutek skargi podanej przez Stanisława Pyrowicza, adwokata przysięgłego w Płocku, w imieniu p. Aleksandra Jackowskiego, którem to postanowieniem (Nr. 7,083) Senat rządzący zniósł powtórnie decyzyą Sądą Zjazdowego płockiego, odmawiającą przyjęcia skargi w języku polskim, wniesionej do jednego z Sądów gminnych.

Samowolną tę decyzyą, Sądu zjazdowego, Senat rządzący zniósł wyrokiem zapadłym jeszcze w d. 26 grudnia 1878 r: Pomimo to Sąd zjazdowy płocki 1-o okręgu, do którego skarga p. Jackowskiego została odesłaną, poważył się nie uznać decyzyi najwyższej magistratury, tak dla tego że apellacya napisana była po polsku, jakoteż dla tego jakoby nie rozumiał co prawo i Senat pojmuje pod wyrażeniem: „język miejscowy“ — czy ma to być żydowski, czy niemiecki, czy litewski, czy też nareszcie polski?!

Obecnie kwestya ta została powtórnie stanowczo rozstrzygniętą, wyrok Senatu z d. 24 czerwca r. b. nie dopuszcza podobnie wykrętnych nieporozumień i zarazem ustala dwie ważne zasady, a mianowicie:

że według najwyżej zatwierdzonego postanowienia z d. 2 lipca 1876 r. skargi do sądów gminnych mogą być pisane oprócz jezyka urzędowego i w języku polskim—i

że w obec wyroku senackiego, sąd zjazdowy nie ma prawa wdawać się w jakiekolwiek interpretacye wyż powołanego postanowienia z d. 2 lipca 1876 r. lecz stosownie do Artyk. 813 Ust. Post. Cyw. obowiązany jest poddać się wykładni ustalonej przez Senat.

To zawyrokowanie rozpraszając ostatecznie mnie mane wątpliwości, wymyślone przez błędną i stronną praktykę, otwiera dopiero drogę do wprowadzenia w wykonanie prawa z d. 2 lipca, tak potrzebnego dla kraju, a które przez lat cztery od daty ogłoszenia go, martwą jedynie pozostawało literą.

Jak zdobycie tej ważnej jurysprudencyi jest wyłącznem dziełem prywatnej inicyatywy i usiłowań, tak i wprowadzenie jej w praktykę sądową, nastąpić tylko może staraniem jednostek. Zatem wszyscy obywatele kraju powinni wiedzieć, że odtąd mogą sami pisać w języku krajowym wszelkie skargi i podania do sądów gminnych, bez pośrednictwa pokątnych doradzców najczęściej nie rozumiejących interesu i nie znających prawa. A ponieważ wyrok rządzącego Senatu jest obowiązującym dla *wszystkich* sądów, przeto sędzia któryby odmówił przyjęcia skargi wniesionej do sądu gminnego w języku polskim, mógłby być pociągniętym do odpowiedzialności z mocy art. 1,331 Ust. Post. Cyw. i zobowiązany do wynagrodzenia strat i straconych korzyści.

Sprawa p. Jackowskiego jest pocieszającym dowodem, że oparte na prawie żądania obywateli kraju, znajdują w wysokich sferach władzy sądowej bezstronne rozpoznanie i zatwierdzenie, a nadto oprócz korzyści jaką wprowadzenie nowej ustawy przyniesie krajowi, przykład dany w tym wypadku nie może pozostać bez wpływu. Wyrobi on silne przekonanie o konieczności popierania interesów ogólnych jedynie na drodze drobiazgowej, wytrwałej i legalnej pracy, nie zrażającej się trudnościami i złą wolą stawianemi zaporami i polegającej na własnej tylko pomocy, Na każdym kroku w życiu codziennem ileż to spotykamy spraw wymagających takiej energicznej działalności, a w pierwszym ich rzędzie stoją sprawy gminne, szkoły i oświata ludowa.

— Profesor uniwersytetu zagrzebskiego, Franciszek Markowicz, znany jako pełen talentu poeta liryczny i dramatyczny, autor doskonałego przekładu Maryi, Farysa Ojca Zadżumionych i w. i. napisał obszerną rozprawę o mało bardzo u nas znanym poemacie Gundulicza „Osman.“ W poemacie tym wieszcz dubrownicki wysławia królewicza Władysława, syna Zygmunta III i bohaterów z pod Chocima. Wieszcz chorwacki zapytuje czy nie znajdują się w zamku warszawskim stare gobeliny przedstawiające jakieś sceny z bitwy pod Chocimem i bardzo byłby wdzięczny temu ktoby chciał i mógł objaśnić go o tem. Obecnie Markiewicz pracuje nad życiorysem zmarłego poety Stanka Wraza, którego Chorwaci i Słoweńcy postanowili uczcić uroczystym obchodem 70 letniej rocznicy jego urodzin. Wyszło teraz drugie wydanie pięknego poematu Markowicza p. n. „Kochan i Wlasta“ osnutego na tle dziejów Słowian polabskich, i zarówno jak pierwsze wielkim cieszy się powodzeniem.

— Japonia olbrzymim krokiem dąży po drodze postępu, dzięki rozumowi, energii i wytrwałości obecnie panującego Mikada. „Times“ wychodzący w stolicy państwa, zamieścił przed parą miesiącami ustęp z mowy Mikada do zawezwanych gubernatorów prowincyi, którą śmiało mógłby wypowiedzieć najrozumniejszy monarcha europejski.

„Wstąpiwszy na tron, odwołałem się do pamięci sławnych przodków moich, aby przywrócić odwieczną potęgę mojej dynastyi, zaprowadzić w państwie wielkie reformy i zapewnić pomyślność wiernym poddanym moim. Do najlepszych z dokonanych ulepszeń należy zniesienie systematu feodalnego. Doświadczenie przekonywa o trafności mojej polityki; ogłędnie wprowadzane reformy w rządzie i administracyi, popchną nas na drogę postępu i mam nadzieję że będę mógł stopniowo przysposobić naród do korzystania z dobrodziejstw systemu konstytucyjnego. Lecz nim to nastąpi wiele jeszcze trudów i przeszkód nas czeka. Szlachta oświeceńsza jest w ogóle niezamożna, a najbogatsi panowie są zarazem, na nieszczęście, największemi nieukami. Pragnę koniecznie zmienić i polepszyć ten stan rzeczy i spodziewam się że urzędnicy moi dopomagać mi w tem będą według wszelkiej możności i uzdolnienia swego. Wy szczególniej, panowie gubernatorowie, znający potrzeby ludności, powinni-

ście zrozumieć i wykonywać instrukcye i plany moje mające za cel dobro i pomyślność ojczyzny. Jeźli w prowincyach waszych znajdą się ludzie z rodów szlacheckich, nie mogący dla braku sposobności i środków spożytkować swego ukształcenia, powinniście przychodzić im z pomocą i jeźli zażądają dawać im odpowiednie posady: pozbawionym zaś wyższego ukształcenia, powinniście zalecać aby starali się je nabywać, korzystając z licznych nastręczających im się środków. Jeźliby niektórzy poddani moi, nie dość obeznani z politycznemi sprawami kraju, naganiali czynności mego rządu i objawiali nieukontentowanie z prowadzonego systemu, starajcie się sądy takie prostować i przekonywać ich o nieodzownej potrzebie zarządzonych środków i przepisów. Nie uciekajcie się jednak do środków przemocy ale starajcie się wpływać namową i dobremi radami! Pomagajcie mi wszelkiemi siłami w urzeczywistnieniu zmian jakie dla dobra ludu mego zaprowadzam, aby kraj nasz stawał się coraz potężniejszym i coraz szybciej posuwał się na drodze cywilizacyi."

— Przed kilku tygodniami umarł w Anglii niejaki Tomasz Dawson najsłynniejszy w świecie *entrenor* koni wyścigowych. Przez lat przeszło 30 stanowił najpierwszą powagę w dziedzinie wyścigowej. Pierwszy sławny jego popis odbył się w Oks w 1842 r. i od owego czasu Tomasz Dawson ani razu nie doznał porażki; do tych zwycięztw dopomagał mu głównie żokej jego Tommy Lye, który po wielkim tryumfie w Saint-Leger dostąpił tak niesłychanego zaszczytu, iż słynny Tom Dawson oddał mu rękę swej siostry. Legendowa ta historya znaną jest w stajniach obu półkuli. Miss Dawson przyrzekła żokejowi brata, iż pójdzie za niego jeźli wyjdzie zwycięzcą w sławnych wyścigach na klaczy lorda Eglinton *Blue-Bonnet* która dotąd nigdy jeszcze nie biegała. Zdawało się to tak niemożebnem i zakłady były tak wysokie iż sam lord Eglinton zamierzał w ostatniej chwili wycofać klacz swoją. Tom Dawson oparł się temu, licząc na to że miłość cudów dokonać może, — jak gdyby żokej mógł uczucia swoje przelać w dosiadanego konia. Nie zawiodły go jednak nadzieje — *Blue-Bonnet* zwyciężyła. Powiadają że współzawodnik jego stracił na tym wyścigu 30,000 funt. szter. a i wszyscy członkowie klubu mniej więcej znaczne ponieśli straty; najwięcej jednak ucierpiała biedna *Blue-Bonnet*, która od łopatek do grzbietu nosiła ślady ostróg zakochanego żokeja. Jedne te wyścigi zrobiły Tom Dawsona bogaczem, i dotrzymując przyrzeczenia oddał wielkiemi Centaurowi rękę swej siostry. W r. 1856, Tom Dawson idąc za awanturniczym popędem wszelkiego rodzaju graczy, raz jeszcze zaryzykował swoją sławę pierwszego *entrenor'a* na *Ellington*, pomimo że w minionym roku była pokonana. Był to pierwszy wyścig Dawsona w Derby, na najsławniejszych w całym kraju wyścigach. „Jutro o tej godzinie będę więcej jak człowiekiem lub mniej jak myszą" zawołał z zapałem w przeddzień wyścigów. Zakłady poczynione za przeciwnikiem *Blue-Bonnet* wynosiły przeszło 150,000 funt. (600,000 rs.). Właściciel *Ellington'a*, admirał Harcourt, zrobił odrazu ogromny majątek, a za część jaka przypadła Tom Dawson'owi, tenże kupił przepyszną włość w hrabstwie Yorkshire: Powiadają że tak mało dbał o pieniądze, iż zostawił w wagonie znaczną summę wyliczoną mu w biletach bankowych którą wrzucił w papierowe pudełko od kapelusza. Szczęściem dla zrozpaczonej rodziny, zostawione pudełko zaniesiono do składu, gdzie nazajutrz znaleziono je nienaruszone. Dawson umarł mając lat 71, bogaty i szanowany powszechnie; cały świat sportu boleśnie uczuł jego stratę, gdyż odznaczał się nietylko wielką odwagą, znajomością swego fachu ale i nieposzlakowaną prawością.

— Straszna katastrofa spowodowana wybuchem gazu, miała miejsce w Londynie w miejcu Oxford Street z przedmieściami. Zakładano nowe rury gazowe i połączono je z siecią starych. Gdy już robota została skończoną, chcąc przekonać się o jej dokładności, robotnicy zbliżyli się z zapalonemi zapałkami do miejsc gdzie rury były spojone, i w tejże chwili nastąpił wybuch którego ofiarą padło dwóch robotników rozszarpanych na drobne kawałki. Kamienne płyty ulic krzyżujących się w tem miejscu wyleciały w powietrze na wysokość 7 piętrowych domów, a na ulicy wytworzył się krater 5 stóp głęboki a 10 szeroki, z którego wśród kłębów pary wydobywały się ciemno-żółte płomienie tak duszące że na dwadzieścia kroków w około dusiły przechodniów, nie dopuszczając oddychać. Para ta wcisnęła się do głównych rur gazowych co spowodowało drugi wybuch na jednej z pobocznych ulic, w oddaleniu czterdziestu metrów od miejsca pierwszego wybuchu. Wybuch był tak gwałtowny że ziemia wśród głuchego podziemnego łoskotu trzęsła się jak podczas silnego trzęsienia, domy chwiały się na fundamentach. Miliardy szyb z przerażającym trzaskiem padały na ulicę i łącznie z wyrzucanemi w powietrze kamieniami, wytworzyły barykady przerywające wszelką kommunikacyą.

Trudno wystawić sobie ogrom zniszczenia. Najludniejsze i najbogatsze ulice Londynu strasznemu uległy spustoszeniu. Rura gazowa o dwumetrowej średnicy, napełniona jest ciągle wybuchającym gazem i pęka od czasu do czasu wśród przerażającego huku podziemnych grzmotów. Trzysta domów grozi zawaleniem, muszą więc zostać zburzone; u niektórych frontowe ściany rozsypały się w gruzy. Liczba rannych i chorych z przestrachu dochodzi do stu, zabitych do 12 osób; tysiące robotników pracuje nad usunięciem śladów strasznej katastrofy.

— Kwestya ujednostajnienia i poprawienia pisowni nietylko u nas jest poruszaną. W Niemczech, p. Puttkamer, minister oświecenia i wyznań wystąpił z inicyatywą uproszczenia ortografii. Chociaż w języku niemieckim wszystkie prawie słowa tak się piszą jak i wymawiają, są jednak dość liczne wyjątki; chcąc je usunąć, p. Puttkamer wysłał do podwładnych swoich okólnik, w którym zalecił im aby od 1 kwietnia 1880 r. stosowali się do nowej ortografii, według której miano wyrzucać ze słów wszelkie niepotrzebne, nie wymawiające się litery. Bez zaprzeczenia, minister miał słuszność, chcąc ununąć z pisowni trudności niezgodne w ogóle z ortografią niemiecką, ale cóż kiedy zawinił nie porozumiawszy się pierwej z księciem Bismarckiem, który pokrzyżował jego zamiary, wydając postanowienie wprost przeciwne. „Aby uniknąć nieporozumień i zachować jednostajność w urzędowej korespondencyi, proszę zachować dotychczasową pisownię w pismach i aktach urzędowych, aż do czasu w którem na mocy wspólnego porozumienia, zapadnie urzędowe postanowienie. Samowolne zboczenia i zmiany w pisowni wykładanej dotąd w szkołach, wprowadzane do korespondencyi urzędowej, są wzbronione a w razie nieposłuszeństwa ściągną na winnych surowe kary dyscyplinarne." Wystawcie sobie kłopot biednych kancelistów i urzędników władz rządowych, z przerażeniem przeglądających swoje referaty, czy bezwiednie nie opuścili której z tych pasożytnych liter, które „żelazny kanclerz" wszechwładną swoją otoczył opieką.

— Piękne wyroby z bursztynu są obecnie dość modne ale i dość drogie, otóż w ostatnich czasach zaczęto wyrabiać masę doskonale naśladującą bursztyn; tak że żadnej różnicy dopatrzeć niepodobna. Massa ta elektryzuje się przez potarcie o sukno, przyciąga drobne kawałki papieru, i t. p.

Doskonała ta imitacya przygotowuje się z kopalu, kamfory, terpentyny i kosztuje trzydzieści razy taniej od prawdziwego bursztynu; w bardzo wielu sklepach wyroby z tej massy sprzedają za bursztyn kopalny i obecnie bardzo się rozpowszechniły.

Są jednak dwa sposoby rozpoznania bursztynu naśladowanego od prawdziwego; 1-o położywszy wyroby z takiej massy na rozpalonej blasze metalicznej roztopią się po upływie kilku minut, bursztyn zaś wytrzymuje nierównie dłużej działanie wysokiej temperatury. 2-o Jeźli imitacyą taką zanurzyć w eterze, traci natychmiast politurę i staje się tłustą w dotknięciu a następnie tak miękką że się rysuje i ugina pod paznokciem, kiedy eter żadnego nie wywiera skutku na prawdziwy bursztyn.

— Profesor Thomson w Brystolu, zrobił niedawno ciekawe spostrzeżenie pod względem zastosowania magnetyzmu. Jeźli weźmiemy cienką tafelkę z hartowanej stali i na niej nakreślimy litery silnie namagnesowaną pałeczką żelazną jak gdybyśmy pisali piórem, to miejsca tafelki z któremi stykała się pałeczka magnesują się na dość długo tak silnie że przyciągają opiłki żelaza. Zatem posypawszy tafelkę miałkiemi opiłkami żelaznemi i następnie postawiwszy ją pionowo, ażeby nie przyciągnięte opiłki spadły lub dały się zdmuchnąć, to w miejscach po których przeszła namagnesowana pałeczka ukaże się pismo wypukłe, złożone z przylegających do tafli opiłek żelaznych.

Nowe wydawnictwa.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt 2—tomu pierwszego i zawiera wiadomości dotyczące Akademii. Każdy zeszyt składa się z pięciu arkuszy druku, wychodzi co sześć tygodni i kosztuje kop. 40, z dopłatą kop. 10 za przesyłkę pocztową. Na każdy tom złożony z czterech zeszytów prenumerata wynosi rs. 3 kop. 20 a z przesyłką rs. 4.

Higiena wieku dziecinnego. O odstawianiu dzieci od piersi, podług D-ra Brocharda streścił i dopełnił M. Bojasiński Lekarz powiatu Błońskiego. W broszurce tej mieści się: Wstęp.

1. Określenie:
2. Wybitniejsze różnice mléka krowiego i kobiecego i o mleku krowiem przeznaczonem do żywienia noworodków.
3. O czasie odstawiania i jego związku z zębowaniem.
4. Przygotowanie do odstawienia.
5. Zasady odstawienia.
6. Odstawienie przedwczesne i opóźnione.
7. Przypadłości po odstawieniu.
8. Dyeta noworodka po odstawieniu.
9. O odstawianiu ze względu na matkę.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 15 Іюля 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek,

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 31 r. 1880.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Skinęła na córkę i pan de Madiran ujrzał zbliżającą się ku nim wysmukłą, powabną i trochę nieśmiałą panienkę, a kiedy odpowiadając na jego ukłon podniosła swe przepyszne czarne i pełne blasku oczy, pomyślał że łatwo sobie wytłomaczyć tak żywe współczucie Roberta dla pustelnicy w Accroches.

— Zbliż się Emelino, rzekła hrabina, chcę cię przedstawić najlepszemu przyjacielowi twego ojca: Pan Paweł de Madiran.

Lekki rumieniec pokrył matowo białą twarzyczkę dziewczęcia, i odezwała się bez namysłu:

— Prawdziwa to dla mnie przyjemność znaleźć przyjaciela mej rodziny w ojcu pana Roberta de Madiran.

Teraz znów na twarz hrabiny wystąpił silny rumieniec. Dziwiło ją to że Emelina zna Roberta, a gniewało że tak otwarcie wyraża swe zadowolnienie z tego że poznała tego natrętnego starca.

— Podwójnie pani dziękuję za te słowa, gdyż zawierają pochlebne wspomnienie dla mego syna, a dla mnie obietnicę jej życzliwości, rzekł pan de Madiran.

Po tych słowach pocałował Emelinę w rękę z grzecznością połączoną z uszanowaniem, i usiadł przy niej, chcąc zabrać bliższą znajomość.

Hrabina zadawała sobie w myśli pytanie, jakim sposobem córka jej znała Roberta, ale nadeszli nowi goście i nie miała czasu zastanawiać się nad rozwiązaniem tej zagadki.

Jedni pytali się o Emelinę, drudzy pragnęli się jej przedstawić, inni podziwiali że wyrosła tak pięknie i zdrowo, dzięki roztropnej troskliwości matki, która ją tak długo pozostawiła na wsi, a następnie przechodzono do zwykłej salonowej rozmowy.

Emelina wracała wtenczas do pana de Madiran. Nie stała się jeszcze o tyle Paryżanką aby potrafiła ukrywać swe wrażenia i myśli, łatwo też było wyczytać z jej twarzy, że jej przyjemnie jest widzieć ojca, a zarazem że ją dziwi nieobecność syna.

Pan de Madiran nie mógł jej wytłomaczyć jakie były tego powody, nadmienił więc tylko przy sposobności, że Robert zamierza wejść do dyplomacyi, i chcąc nabrać potrzebnych w tym zawodzie wiadomości, zajął się tak gorliwie nauką prawa międzynarodowego, że nawet nie bywa nigdzie.

W ciągu tej rozmowy, pan de Madiran doznał miłego zadziwienia, widząc jak Emelina chciwie słuchała najdrobniejszych szczegółów dotyczących jej ojca, pomimo że nie przypominała go sobie wcale, i że nie wpajano w nią wcale poszanowania dla jego pamięci.

Dotąd wiedziała zaledwie w której części świata przepędził życie i gdzie je zakończył; boleśną była dla niej ta nieświadomość w której ją pozostawiała obojętność matki, była też szczerze wdzięczną temu miłemu starcowi, który mówił z nią o tym nieznanym jej ojcu. Nieszczęściem pan de Madiran stracił go z oczu na wiele lat przed tym czasem, w którym złożył wszystkie nadzieje szczęścia w ręce lekkomyślnej kobiety, cierpiącej jedynie swe umysłowe i moralne wykształcenie w niezliczonej liczbie romansów które czytała chciwie.

Ale przypominał go sobie dobrze w młodym jego wieku, mówił jej więc o dobroci serca, wyższości umysłu, o szlachetnym choć zbyt popędliwym charakterze nieszczęśliwego Wiktora d'Anglejean, i z pełnym rozczulenia zajęciem patrzył na tę twarz ożywioną, wyrazistą, na której tak wybitnie malowały się uczucia jakich doznawała poznawając ojca z opowiadania jego starego przyjaciela.

— Wszak pan przyjdzie znów do nas wkrótce?... będzie nas odwiedzał często, i mówił ze mną o moim ojcu? rzekła Emelina do pana de Madiran, gdy ten spostrzegł nakoniec że zajęty dawnemi wspomnieniami zapomniał że już czas pożegnać hrabinę.

Przyrzekł jej to tem chętniej że teraz żywsze jeszcze budziła w nim współczucie, gdy nabrał przekonania że posiada charakter prawy, brzydzący się fałszem i obłudą.

Jak tylko wrócił do domu, Robert zapytał go czy mu się podobała Emelina.

— Nie weźmiesz mi tego pewnie za złe, mój panie synu, odpowiedział pan de Madiran, jeżeli wyznam że podobała mi się prawie tyle co tobie.

XIII.

Łatwo było panu de Madiran odnowić znajomość z baronem d'Astiville byłym oficerem marynarki, synowcem męża zmarłej baronowej, i kuzynem Wiktora d'Anglejean.

Był to człowiek rozumny, zimny i cierpki, ale tę opryskliwość jego usprawiedliwiał poniekąd smutny stan zdrowia zniszczonego atakiem paraliżu. Nie wychodził już wcale z domu, nie dawał żadnych przyjęć, nie wydawał najmniejszej cząstki swych dochodów dla przyjemności swych znajomych, pomimo to można było zawsze zastać w jego pokoju kogoś z odwiedzających, co mogło służyć za miarę rzeczywistej wartości tego, który umiał zasłużyć na tak wytrwałą przyjaźń.

Powitał pana de Madiran z przyjemnością, ale stosownie do swego zwyczaju wyraził mu to chłodno, i zapoznał go ze swą żoną, kobietą już niemłodą, ruchliwą i pospolitą, i z trzydziestoletnim już synem, bardzo ładnym, ale bez wielkiej wartości moralnej; człowiekiem prowadzącym życie bezczynne, i nader z siebie zadowolnionym.

Baronowa d'Astiville i syn jej Gustaw odwiedzali teraz bezporównania częściej hrabinę, niżeli dawniej kiedy sama tylko przybywała na czas jakiś do Paryża. Próżniacy chełpiący się darem spostrzegawczym i roznoszący plotki salonowe, uważali to za przedwstępne kroki do ściślejszego połączenia się tych dwóch spokrewnionych domów. Nie upłynęło jeszcze trzy tygodnie od dnia w którym panna d'Anglejean przybyła do domu matki, kiedy już poczciwe dusze łączyły jej imię z imieniem Gustawa d'Astiville. Lecz wnioski które dotąd szeptano sobie tylko do ucha, zamieniły się prawie w pewność na świetnym balu, który w tym czasie wydała hrabina.

Co prawda, Gustaw d'Astiville przyczynił się wiele do utrwalenia tego przekonania. Wysoki, blondyn, z klasycznemi ale bez wyrazu rysami, znużony życiem paryzkiem, przesycony zabawami światowemi, pozował na człowieka znudzonego wszystkiem i wszystkiemi, i przyzwyczajono się już widzieć go przesuwającego się wśród najświetniejszych zabaw z miną obojętną i znudzoną. I teraz nagle ten udoskonalony okaz cywilizacyi bulwarowej, jakby nowem natchniony życiem, pozostawiał w przedpokoju swą pogardliwie znudzoną minę, i wchodził do salonu z żywością młodzieńczą, z uśmiechem na ustach.

Widziano go rozmawiającego, rzadki dowód grzeczności!... zbliżającego się do kobiet niezwykły objaw łaski!... tańczącego... tak, tańczącego! to już nadzwyczajne ustępstwo ze strony podobnego Adonisa, bo wszakże w tańcu twarz jego może się zaczerwienić, włosy rozrzucą się trochę, oddech będzie przyspieszony, a to wszystko naruszy harmonijną piękność jego postaci.

Prawda że ta która skłoniła go pomimowolnie do przekroczenia raz przyjętych zasad, łączyła w sobie wszystko co mogło usprawiedliwić podobną zmianę.

Emelina uniesiona po raz pierwszy wirem świetnego balu, i tem chętniej biorąca w nim udział że nie przewidywała jeszcze jaką czczość zostawiają po sobie podobne zabawy, korzystała z tej nowej dla niej przyjemności, z zapałem i ufnością młodości. Wszystko na co patrzyła wydawało jej się prawdziwem, wierzyła w piękność tam nawet gdzie nie było nic prócz przepychu i sztuki, w każdym uśmiechu widziała objaw szczerej wesołości.

Któż jej miał powiedzieć ile to na każdym balu przesuwa się tajonych smutków, ukrywanej chciwości, kiełkującej niesławy, śmiertelnego zniechęcenia? Czy matka żyjąca jedynie zabawami? Czy Ludwika która tylko ze słyszenia wiedziała że bogaci wydają bale?

Emelina tańczyła więc ochoczo ze swym kuzynem Gustawem, przekonana że wszystkie znajdujące się w salonie kobiety są szczęśliwe, wszyscy mężczyźni szczerzy, wszyscy narzeczeni zachwyceni sobą, dla tego że widziała kobiety zalotne, mężczyzn nadskakujących, i dwie czy trzy pary narzeczonych, którzy mówiąc o zbliżającym się dniu ich ślubu uśmiechali się do siebie.

Tańczyła chętnie, swobodnie, nie domyślając się nawet że toaleta balowa podwajała idealny wdzięk jej postaci, i że wyrazista jej twarz ożywiona tańcem, była tak uroczą że jej mogła pozazdrościć niejedna klasyczna piękność.

Miała jednak na sobie tylko przejrzystą białą sukienkę, która jak lekki obłoczek otaczała jej wysmukłą kibić. Ani jednej bransoletki na rękach, ani jednego kwiatka w czarnych włosach; zdobiła ją sama tylko młodość... ale blask tej młodości przyćmiewał nawet brylanty Cezaryny.

Były to jednak klejnoty przepyszne, wysoko notowane na giełdzie eleganckiego świata, których jej powszechnie zazdroszczono. Nie powinna nawet była występować w nich na balu u siebie, i słusznie można się było zadziwić, że osoba tak dobrze obznajmiona ze zwyczajami wyższego towarzystwa, mogła popełnić coś niestosownego.

Ale Cezaryna czuła że musi stoczyć stanowczą walkę, przekonać się czy będzie mogła pozostać nadal sławną pięknością, pomimo obecności córki która tak nielitościwie zdradzała jej rzeczywiste lata.

Dla tego to Cezaryna przyzwała na pomoc sztukę, przepych toalety, blask dyamentów, aby podwyższając jej piękność, zapewniały jej tryumf tem świetniejszy że odniosłaby go wtenczas gdy już wiadomo było że ma lat czterdzieści.

Emelina, którą kuzynek starał się olśnić swoją pięknością i wyszukaną uprzejmością, nie domyślała się nawet jakie z jej powodu tworzono plany, wnioski i spostrzeżenia.

Mówiąc z nią, pan Gustaw d'Astiville usiłował być dowcipnym, a jeżeli mu się to nie zupełnie udawało to już nie z braku szczerej chęci, bo może nigdy jeszcze mózg jego nie pracował tak ciężko jak obecnie.

Baronowa d'Astiville spoglądała na syna z widocznem zachwyceniem, a jej uśmiech i spojrzenia zdawały się mówić:

— Wybornie!... wybornie!... postępuj tak dalej... z pewnością zawrócisz jej głowę!

Emelina przyjmowała pobłażliwie nadskakiwanie kuzynka, dziwiąc się wszakże jak można w ciągu jednego kontredansa lub walca nagromadzić tyle pochlebnych spostrzeżeń, przesadzonych komplimentów i wykrzykników zachwycenia.

Przypominała sobie że kiedyś czytała szczersze uwielbienie w oczach spoglądających na nią z wyrazem głębokiego szacunku, że odebrała lepiej trafiającą do jéj serca, choć niemą pochwałę, w nieśmiało i cicho wypowiedzianem „do widzenia."

Ale do Accrochet było daleko!... a pan Robert de Madiran oddał się całkiem nauce prawa międzynarodowego!... Dziwna to rzecz jednak że prawo międzynarodowe może wystarczyć do zapełnienia życia pana Roberta.

Wracając na swoje miejsce spostrzegła pana Pawła de Madiran, jedyną osobę której obecność na balu była jej prawdziwie miłą. Skinęła na niego z pełną ufności poufałością, czem go bardzo ujęła, i podając mu rękę prosiła aby się z nią przeszedł po salonach.

Opierając się na jego ramieniu doznawała szczególniejszego uczucia, zdawało jej się jakby odnalazła rodzinę, gdy przeciwnie głośne oświadczenia życzliwości ze strony jej krewnej, baronowej d'Astiville, nie czyniły na niej żadnego wrażenia. Z jednej strony wszystko było proste, przyjacielskie, ojcowskie; z drugiej wszystko zdawało się napuszone, pełne przesady, nieszczere.

Emelina wyrzucała sobie to uprzedzenie do krewnej którą matka tak chętnie przyjmowała u siebie, i która zapewnie nie zasługiwała na sąd tak surowy. Pomimo to jednak doznawała zawsze przykrego uczucia gdy baronowa mówiąc do niej nazywała ją: „mój drogi aniołku!" jak też przeciwnie dziwnie miłego, kiedy pan de Madiran korzystając z przywilejów jakie mu wiek nadawał, mówił do niej: „moje drogie dziecię." Od niego to żądała objaśnienia, o ile można przywiązać wiary do uroczych pozorów światowego życia.

— Jak tu wszyscy zdają się przychylni sobie, rzekła; czy tak jest w istocie?... Mówiono mi że ta młoda para ma się połączyć z sobą wkrótce... jakże oboje zdają się szczęśliwi!... Czy wszystkie te osoby są wolne od smutków i zawiści?

— Wszak pani miała już nieraz powód do smutku, panno Emelino?

— Tak, odpowiedziała zadziwiona tem pytaniem.

— A pomimo to uśmiechasz się teraz, posłuszna wrażeniu obecnej chwili, jak oni uśmiechają się przez wzgląd na pozory. Znalazłoby się tu wielu takich którzy witając się niby przyjaznem uściśnieniem rąk, woleliby je połamać sobie wzajemnie. Kobiety nienawistne sobie obsypują się oświadczeniami przyjaźni. Ci mają współzawodników trujących im życie, tamci zawistnych szkodzących im tajemnie. Narzeczeni których tu widzisz, łączą się z sobą dla majątku, zadowolnienia swej dumy, lub przez posłuszeństwo. Serce nie ma w tem żadnego udziału... Tak przynajmniej zwykle bywa.

— A! drogi panie, w jakiemże posępnem świetle wszystko ci się przedstawia.

— Przebacz mi, drogie dziecię, jeżeli słowa moje sprawiły na tobie przykre wrażenie, ale pytałaś się i dałem ci odpowiedź zgodną z tem czego mnie nauczyło doświadczenie.

Rozmowę ich przerwał Gustaw d'Astiville, szukający właśnie kuzynki z którą miał tańczyć kontredansa. Prowadząc ją przez salon zdawał się pysznić z przywilejów jakie mu nadawało kuzynowstwo z córką gospodyni domu.

Emelina, w której umyśle brzmiały dotąd słowa starego przyjaciela, zadawała sobie w myśli pytanie, czy jej piękny kuzynek tak zadowolniony z siebie, ożeni się kiedyś dla majątku, przez próżność, czy też przez posłuszeństwo. Prawie równocześnie Gustaw starał się jej dać do zrozumienia w szumnobrzmiących słowach, że nie mógłby się ożenić inaczej jak z miłości.

Wprawdzie nie było to powiedziane wyraźnie, ale Gustaw był pewnym że go zrozumiano, i że, stosownie do rady matki, skorzystał z pierwszej sposobności złożenia serca u stóp bogatej kuzynki. Gdyż rzeczywistą pobudką nadskakiwania tak baronowej d'Astiville jak jej syna, była świeżo zasięgnięta wiadomość, że panna d'Anglejean dostanie zaraz po ślubie pięć kroć sto tysięcy posagu.

Emelina słyszała słowa, ale nie zrozumiała w jakim zostały wypowiedziane zamiarze, i nawet bawiła się kosztem swego tancerza, widząc z jakim upodobaniem spogląda w każde lustro około którego przechodził.

W kontredansie, pani d'Anglejean znalazła się obok córki. Emelina z czułością spojrzała na matkę, na ustach hrabiny ukazał się wymuszony uśmiech. Była to niebezpieczna próba na którą nie narażałaby się dobrowolnie, ale przed którą cofnąć się nie chciała.

W salonie zamieniano niekorzystne dla Cezaryny uwagi.

— Natura zaćmiewa sztukę, mówił jeden.

— A jednak do jakiejże doskonałości sztuka została tu doprowadzoną!... odezwał się inny.

— Dzięki dwudziestoletniej wprawie... szepnęła dama w dojrzałym już wieku.

— Podtrzymywanej nieprzepartem pragnieniem odbierania ciągle hołdów, dodała jedna ze współzawodniczek.

— Wczoraj jeszcze... uchodziła za młodą.

— Dziś córka jej popełnia coś podobnego do matkobójstwa.

— Ta córka choć niepiękna, ma bardzo wiele wdzięku, i nader pociągająca.

— Mówcie co chcecie, matka piękniejsza!

— Ale ma czterdzieści lat, niestety!...

— Panowie, odezwał się pewien młody margrabia, uważany za wyrocznię w salonach, trzeba przyznać że pani d'Anglejean bardzo jeszcze ładna na swoje lata.

Te okrutne choć pełne prawdy słowa, zraniły boleśnie serce Cezaryny. Nieuważny margrabia wypowiedział je kiedy po skończonej figurze wracała na miejsce, i zabrzmiały w jej uszach jak ponury odgłos pogrzebowego dzwonu.

— Pytałam, i odpowiedziano mi... wszystko już skończone! pomyślała z niewysłowioną goryczą.

— Na swoje lata!... Była tylko piękną na swoje lata!...

Nieszczęśliwa istota nie kochająca nic prócz siebie, a tak dotkliwie zraniona w swej miłości własnej, spełniała dotąd obowiązki gospodyni domu ze sztywnością automatu. Wydając bal tak świetny, łudziła się jeszcze nadzieją że potrafi utrzymać się na raz zdobytem stanowisku, tymczasem zaproszeni odpłacili jej się za gościnność szczerością niweczącą wszelkie jej marzenia, a oczy ich zdawały się mówić. „Możesz być jeszcze piękną, jeżeli nie będziesz usiłowała ukrywać swego wieku i okażesz się dumną z twego macierzyństwa. Nie tańcz już, ale ciesz się widokiem tańczącej córki, zwracaj ku niej hołdy któreby w skutek nawyknienia lub pomyłki do ciebie się zwracały. Najpiękniejszą ozdobą matek są ich dzieci, a gdy córka dorośnie, matka na tem większe zasługuje pochwały, im mniej o sobie a więcej o niej myśli.

Cezarynie zdawało się że wszystkie usta w koło niej powtarzają te rady, a prócz tego brzmiały ciągle w jej uszach słowa:

— Na swoje lata!... ładna jeszcze, jak na swoje lata!

XIV.

Smutno upływały pannie d'Anglejean dni następujące po tym balu. Zniknął nawet ten cień przychylności okazywanej jej dotąd przez matkę, a miejsce jej zajęła jakaś cierpka obojętność, objawiająca się to przez ponure milczenie to w niesprawiedliwych wymówkach. Często przez parę dni czuła się tak zapomnianą jak kiedyś w Accroches, a następnie przypominano sobie jej obecność po to jedynie, aby ją łająć surowo bez żadnego powodu. za wszystko cokolwiek uczyniła lub powiedziała.

Emelina była jednak bardzo mało wymagającą i cierpliwą i wtenczas tylko płakała, kiedy już znajdowała się sama z Ludwiką podzielającą szczerze jej cierpienia.

Skoro zeszła do salonu; hrabina wyrzucała jej że jest roztrzepaną jeżeli usiłowała okazać się wesołą, a nazywała przesadzoną gdy była milczącą i poważną.

Hrabina zaczęła nosić tylko ciemniejsze kolory, i poważniej układać włosy; w jej przekonaniu było to już wszystko czego od niej można było wymagać. Jednocześnie w sercu jej wrzała burza i wzmagał się żal za szczęśliwą przeszłością; ta dusza pozbawiona uczuć religijnych, tej głównej naszej siły i pociechy, nie była zdolną przyjmować uległe zmian jakie przynosi nam każda epoka życia, ani zrozu-

mieć potrzeby poświęcenia się nawet dla własnego dziecka.

Emelina czuła się zarówno niepotrzebną, zarówno obcą w domu matki, jak wówczas kiedy przybywała do niej tylko na chwilę. Zmiana nad którą pani d'Anglejean tak gorzko ubolewała odnosiła się tylko do oznak zewnętrznych: przyjęła córkę do domu, ale serce jej pozostało jak dawniej zamknięte dla Emeliny.

Jedyną osłodą życia biednej dziewczyny była obecność Ludwiki, jedyną pociechą, rozmowa z panem de Madiran. Jakkolwiek ani jednem słówkiem nie dała mu poznać swego smutnego położenia, zdawało jej się że ten przyjaciel tak dobry i przenikliwy odgadł to z pewnością, i szczerze nad nią ubolewa.

Prócz tego miała jeszcze jedną przyjemność. Jak tylko Ludwika dowiedziała się że Robert mieszka w Paryżu, i jest tak blizkim ich sąsiadem, pośpieszyła powitać swego wybawiciela, jak go nazywała zawsze, i wynurzyć raz jeszcze swą wdzięczność.

Robert zdawał się uszczęśliwiony tym dowodem pamięci, prosił aby go odwiedzała często, ona zaś zastosowała się chętnie do tak pochlebnego dla niej życzenia.

Ludwika odwiedzała więc Roberta, i, jak się łatwo domyśleć, mówiła z nim o Emelinie, ponieważ dla niej był to najmilszy przedmiot rozmowy, a Robert słuchał z głębokiem zajęciem opowiadania zdradzającego smutne położenie panny d'Anglejean. Była szczerą, bo przekładała głęboką ufność „w przyjacielu“ swego brata, a zresztą przynosiło jej to ulgę że mogła z kimś pomówić otwarcie o przykrościach jakie musi znosić jej ukochana wychowanica.

Nigdy Robert nie poważył się zadać jakiegoś niewłaściwego pytania lub choćby kilku słowami przypomnieć się pamięci panny d'Anglejean; przesyłał jej tylko swoje uszanowanie, jako hołd należny jej od wszystkich.

Emelina ze swej strony słuchała z prawdziwą przyjemnością gdy Ludwika mówiła jej jak ją Robert przyjął, co mówił, jak wygląda, lub też opisywała pałacyk pana de Madiran, ale poprzestawała na tem nie pytając o nic więcej.

Hrabina zapytała córki pewnego dnia, jakim sposobem poznała pana Roberta de Madiran, a gdy Emelina opowiedziała jej wszystko wiernie, odrzekła zimno:

— Jest to dobry chłopiec, ale roztrzepany, nieposiadający zdrowego rozsądku. To jedynie przemawia na jego korzyść że choć późno zabrał się do pracy.

Emelinie zdawało się że matka zbyt surowo osądziła Roberta, tym więcej że nie przytoczyła nic na poparcie swego zdania, pomimo to wszakże nie usiłowała zbijać jej przekonania.

Ona sama tak mało znała Roberta, który przesunął się tylko jak meteor przed jej oczyma. Jego dowcip, życzliwość, szczere spojrzenie pięknych oczu, zapisały się mile w jej pamięci; życzyła sobie aby nie zapomniał o niej zupełnie, aby pozostała także w jego pamięci, choćby jak zjawisko, które mu się kiedyś ukazało na skale.

Nigdy nie dostrzegła Roberta w oknach pałacu de Madiran, i nie wiedziała wcale że kiedy zachęcona pięknością słonecznego dnia zimowego wychodziła do ogrodu, przyjazne choć niewidzialne dla niej oczy, śledziły wszystkie jej poruszenia.

Ileż to jednak godzin przepędził Robert przy oknie zasłoniętem żaluzyami, gdy ona sądziła nie bez pewnego zadziwienia, że myśli jedynie o prawie międzynarodowem.

Baronowa d'Astiville nie szczędziła jej coraz widoczniejszych objawów czułości. Nie zważając na kaprysy hrabiny, przybiegała do niej codzień, a jak tylko zobaczyła Emelinę obsypywała ją miodowemi słówkami, i oświadczała że życie byłoby jej niemiłem, gdyby nie mogła choć raz na dwadzieścia cztery godzin, uściskać swego „drogiego aniołka.“

„A Gustaw!... o! i on zawsze był tu obecny myślą; gdyby wzgląd na przepisy towarzyskie nie zmuszał go do panowania nad sobą, gotówby całe życie spędzić obok swej ślicznej kuzynki.“

Emelina słuchała spokojnie tych czułych wynurzeń, i odpowiadała że jej zawsze miło widzieć kuzyna Gustawa, i mówiła prawdę, ponieważ rozmowa z nim przynosiła pewną rozrywkę.

I to już coś znaczyło, ale baronowa życzyła sobie czegoś więcej, jakiegoś zmieszania, zakłopotania, rumieńca nagle twarz pokrywającego. Nic takiego jednak doczekać się nie mogła, Emelina była zawsze spokojną i swobodną w obecności Gustawa, pomimo patetycznych frazesów któremi oczarować ją usiłował.

Prócz tego, wśród znajomych hrabiny rozeszła się już wieść, że hrabia d'Anglejean zostawił wielki majątek, i że wdowa po nim ma dać córce bardzo znaczny posag; że Emelina zaczęła rok dwudziesty życia, a zatem, że był to czas stosowny dla zamierzających starać się o jej rękę do wyraźnego objawienia swych życzeń. Pani d'Astiville, która pierwsza postarała się o dokładne wiadomości co do majątku panny d'Anglejean, nie chciała dozwolić aby ktoś wyprzedził jej syna, i zniecierpliwiona tem że nie mogła dotąd znaleźć w sercu Emeliny, sprzymierzeńca ułatwiającego spełnienie jej planów, postanowiła, nie zwlekając dłużej oświadczyć syna.

Pewnego wieczora, baronowa zaczęła wyliczać z rozczuleniem przymioty Gustawa. Cezaryna siedziała zamyślona, w postawie wyrażającej głębokie zniechęcenie. Cóż ją to mogło obchodzić; ją, kobietę czterdziestoletnią, którą nikt się nie zajmował, i którą nic już nie mogło zająć?

Emelina zajęta haftem, słuchała w milczeniu.

Baronowa pochyliła się nagle ku niej i rzekła z uśmiechem:

— Wszak wiesz o tem, drogi mój aniołku, że on cię ubóstwia?

— Doprawdy? zawołała wesoło Emelina, ależ to wcale niepotrzebne.

— Jakto?... jakto?...

— Szczere przywiązanie byłoby dostatecznem.

— On też jest do ciebie przywiązanym z całego serca, z całej duszy.

— Przynosi to zaszczyt jego rodzinnym uczuciom.

— Związki pokrewieństwa nie wystarczają mu..., pragnie czegoś więcej.

— Sądzę że nie powątpiewa o mojej dla niego przyjaźni?

— Tak ale pragnie aby to uczucie stało się żywszem, silniejszem.

— Taką przemianę trzeba już zostawić Bogu.

— Więc sądzisz że on sam nie jest zdolny wyjednać ją sobie?

— Nie wiem, ale zmian nie lubię.

— Bez zmian nie byłoby postępu, mój drogi aniołku...

— Tak jak jesteśmy, zupełnie nam dobrze.

— Gustaw utrzymuje, że marzenia nie mogą zastąpić rzeczywistości.

Emelina podniosła głowę i odpowiedziała poważnie:

— Ja dotąd, wolną jestem od marzeń, kuzynko.

— Wkrótce podzielać będziesz ogólne przekonanie, że młode dziewczęta po to są na świecie, aby wychodziły za mąż.

Cezaryna dosłyszała te ostatnie słowa, i odezwała się z wyrazem zniechęcenia:

— O! tak, do młodych dziewcząt wszystko się uśmiecha... starsze osoby powinny wyrzec się wszystkiego.

— Ja też mówiłam...

— O młodych, ma się rozumieć, dokończyła Cezaryna z goryczą.

— Mówiłam o twojej córce... Chcę aby poszła za mąż.

— Szkaradny przedmiot do rozmowy! zawołała, śmiejąc się Emelina, i wyszła z salonu.

Hrabina osłupiała prawie ze zdumienia. Wydać córkę za mąż!... Nigdy jeszcze nic podobnego nie przyszło jej do myśli. Czy nie dość na tem że się dla niej wyrzekła wszystkich przyjemności życia? Czy potrzebowała jeszcze narażać się na to, aby została przedwcześnie babką? To już przechodziło jej siły.

Odpowiedziała tylko śmiechem ostrym, nie wróżącym szczęśliwego powodzenia zamiarom baronowej. Jeżeli ta jednak nie odznaczała się bystrością umysłu i zdolnościami dyplomatycznemi, to posiadała sporą dozę uporu, i niełatwo odstępowała od raz powziętego zamiaru.

— Proszę cię o jej rękę w imieniu mego syna, rzekła, biorąc za ręce odurzoną tem żądaniem Cezarynę. Gustaw ją kocha, ma trzydzieści lat, jest wykształcony, posiada majątek, prowadzi się dobrze, a co do jego powierzchowności... trudno byłoby wymagać więcej. Przyznaj sama że byłaby to śliczna para.

— A!... chcesz więc... aby twój syn... Zapewnie Emelina nie wie jeszcze o tem?... powiedziała Cezaryna.

— Dziś pierwszy raz dałam jej to do zrozumienia. Mój syn nie ukrywał przed nią także swego dla niej uwielbienia.

— I cóż?

— Emelina przyjęła to jak dobrze wychowana panienka, uśmiechnęła się, zarumieniła, i wyszła z pokoju.

— Jest jeszcze zbyt młoda.

— Wszak ma dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia lat!... mylisz się... zaledwie skończyła dziewiętnaście. Zresztą cóż to znaczy?

— Że już czas pomyśleć aby miała dom swój własny.

— Zdrowie jej...

— Nie pozostawia nic do życzenia; ten drogi aniołek wygląda jak rozkwitająca róża!

— Jest jeszcze zbyt niedoświadczona aby mogła o własnych siłach dom prowadzić.

— Mniejsza o to; mam nieocenionego kamerdynera i doskonałą gospodynię, chętnie im ich ustąpię.

— Zaledwie od kilku tygodni jesteśmy razem.

— Odniesiesz słuszną karę za to że jej tak długo nie wezwałaś do siebie.

— Chcę teraz wynagrodzić to sobie.

— Nie myśl że jestem dość okrutną abym cię chciała pozbawić córki; będzie po kolei odwiedzać swe obiedwie matki.

— Wierzę temu, ale nie chcę wydawać jej za mąż.

— Żartujesz zapewnie, kochana hrabino.

— Bynajmniej.

— Nie chcesz aby twoja córka poszła za mąż?

— Przynajmniej nie tak prędko.

— Kiedyż więc, według ciebie, nadejdzie stosowna do tego pora?

— Nie oznaczam wcale czasu; będzie to zależało od okoliczności.

— Nie chcę przypuszczać, aby to jakaś niechęć do mojego syna podyktowała ci podobną odpowiedź zapytała pani d'Astiville trochę niespokojnie.

— Do twego syna?... bynajmniej, Gustaw jest bardzo miłym chłopcem.

— To też cały świat elegancki ceni go stosownie do jego wartości, zaliczając do wyborowej młodzieży. Czy zwróciłaś na to uwagę, kuzynko, że kiedy na ostatnim balu u ciebie tańczył z Emeliną, wszyscy obecni podziwiali piękność tancerza, i uroczy wdzięk tancerki.

— Tak... Gustaw jest piękny, odpowiedziała Cezaryna.

— A jak dobrym jest synem!... Jak uprzedzającym dla ojca! Wiesz jaki posiada majątek, jeżeli jednak życzysz sobie, mogę ci przedstawić wykaz...

— O! przez litość, dajmy pokój rachunkom, zawołała hrabina z odcieniem zniecierpliwienia. Mam do nich nieprzezwyciężoną odrazę. Pozostawmy to notaryuszom.

— Wszakże ten sam zajmuje się twojemi i naszemi interesami, może ci powiedzieć...

— Ale ja nie myślę pytać się o to.

— Właśnie idzie mój syn; on będzie wymowniejszym.

— Nie życzę sobie mówić z nim o tem.

— W takim razie pozwolisz mi wrócić później do tego samego przedmiotu.

— O! tak, później... kiedyś... nie potrzebujesz się śpieszyć.

Gustaw d'Astiville szedł wolno przez pierwszy salon, spoglądając w lustra, a w twarzy jego można było wyczytać przekonanie, że nigdy jeszcze nie odbiła się w nich postać piękniejszego mężczyzny.

Przyniósł lożę do teatru Opery Włoskiej, i poważył się przesłać furmanowi hrabiny rozkaz aby zaprzęgał.

Cezaryna podziękowała mu dość zimno. Nie miała zamiaru być dziś w teatrze... nie zdąży się zapewnie ubrać...

Jakkolwiek piękny Gustaw domyślił się z pierwszego spojrzenia matki, że interesa jego źle idą, prosił jednak usilnie aby pani d'Anglejean i panna Emelina nie pozbawiały się przyjemności usłyszenia Adeliny Patti w Trawiacie.

Cezaryna zgodziła się na to w końcu i poszła zmienić toaletę, ale i to zajęcie w którem dawniej miała takie upodobanie, straciło teraz dla niej cały powab, bo wszakże musiała się ubierać jakby jakaś matrona. Włożyła więc na siebie ze smutkiem czarną aksamitną suknię przybraną kosztownemi koronkami, i garnitur brylantowy.

Emelina, którą kazała uprzedzić aby się spiesznie wybierała do teatru, przeprosiła za pośrednictwem Ludwiki że nie będzie im towarzyszyć, ponieważ głowa zaczęła ją boleć i dlatego woli pozostać w domu.

Hrabina nie przynaglała jej bynajmniej, i dozwoliła się zawieźć do teatru z obojętnością wcale niepochlebną dla pretendenta do ręki córki.

W czasie międzyaktu, kiedy hrabina była zajęta rozmową z jednym ze znajomych, baronowa powtórzyła synowi w krótkości odpowiedź kapryśnej hrabiny. Nie obawiała się ona odmowy ze strony Emeliny, pomimo że pierwsza próba nie wypadła pomyślnie: młode dziewczęta lubią się zawsze trochę podrożyć z sobą, na to już trzeba być przygotowanym; ale osoba tak kapryśna jak hrabina, mogła odmówić stanowczo, bez żadnego powodu, w skutek jakiejś niewytłomaczonej niczem fantazyi.

— Ba! odpowiedział filozoficznie piękny Gustaw, po co sobie zaraz przedstawiać rzeczy w tak posępnych barwach, nic jeszcze nie stracone.

— Tak sądzisz?

— Ma się rozumieć; będziemy tylko zmuszeni poczekać:

— Poczekać; na co?

— Aby Emelina doszła do pełnoletności.

— Cóż na tem zyskasz?

— Że moja kuzynka będzie miała wtenczas prawo zażądać od matki nietylko posagu, ale i zwrotu całego majątku po ojcu.

— Czy tylko jesteś pewnym że testament pana d'Anglejean...

— Jest bardzo korzystny dla córki. Wszakże notaryusz już nieraz upewniał nas o tem.

— Masz słuszność... jednak niepokoi mnie ta zwłoka .. gdyby tymczasem ktoś inny...

— Ktoś inny... powtórzył Gustaw z wyrazem znamionującym niezłomną ufność w nieprzezwyciężoną potęgę swej urody.

Hrabina uznała że nie potrzebuje wspominać córce o życzeniach Gustawa, a prawdopodobnie i sama na drugi dzień nie myślała już o tem.

XV.

Pani d'Anglejean i Emelina prowadziły na pozór bardzo przyjemne i ożywione życie, w rzeczywistości było inaczej. Za domem bale, wizyty, widowiska; w domu obojętność, zniechęcenie, smutek.

Cezaryna zmuszona wyrzec się pozornej młodości nie pomyślała nawet o życiu poważniejszem, goniła za temiż samemi co dawniej przyjemnościami. Życie światowe przynosiło jej obecnie więcej goryczy niżeli zadowolnienia, ale czemże je zastąpić mogła?

Nie miała wyobrażenia o pracy, nie umiała zająć się niczem, miała wstręt do książek poważniejszej treści. Miłosierdzie jej dla biednych ograniczało się na składaniu szczodrych datków w ręce kwestarek, lub zapisaniu się na znaczną summę na liście składek.

Przepędzała więc dnie całe na wizytach, spacerach, w sklepach i magazynach, a wieczorem przyjmowała gości u siebie, jeździła na bale lub do teatru, nie dla przyjemności, bo jej nie spodziewała się już nigdzie znaleźć, ale z nawyknienia i dla zabicia czasu!

A jednak miała córkę!... tak, ale piękna Cezaryna była do tego stopnia upośledzoną moralnie, że uczucia macierzyńskie obce były jej sercu.

Przyjmowała obojętnie starania, uśmiechy, nieśmiałe objawy przywiązania swej biednej córki; wprawdzie nie odrzucała ich wyraźnie, ale czuła się niemi znużoną.

Zdumiewało ją zawsze pogodne, pełne słodyczy usposobienie Emeliny, jak niemniej że zawsze widziała ją zajętą jakąś robótką, książką lub muzyką, ale w końcu osądziła że kto może na tem poprzestać, musi mieć słaby umysł, i bardzo ograniczone żyzenia. „Prawdziwa z niej wieśniaczka!“ powtarzała pogardliwie w myśli.

Emelina tymczasem usiłowała poprzestać na względnem szczęściu jakie jej się dostało w udziale, ciesząc się każdem serdeczniejszem słówkiem które przypadkiem wysunęło się z ust matki, śledząc jej życzenia, uprzedzając je zanim zostały wyrażone, nie zrażając się bezsilnemi usiłowaniami, nie oburzając się za niesprawiedliwe wymówki i połajania

Nie nudziła się nigdy w ciągu tych godzin które z woli matki przepędzała w swoich pokojach. Czuła że wielu jeszcze rzeczy potrzebowała się uczyć, tak pod względem różnych gałęzi nauk, o których miała niedostateczne wyobrażenie, jak zarówno co do śpiewu i muzyki.

Hrabina zezwoliła na to aby brała lekcye śpiewu i muzyki, ale oświadczyła że byłoby to śmiesznością gdyby do panny dorosłej przychodzili nauczyciele innych przedmiotów. Zresztą kobiety nie potrzebują być uczonemi jak Benedyktyni.

Pan de Madiran pod tym względem przyszedł w pomoc Emelinie. Jak z czułością ojca i prawdziwą delikatnością odgadywał przykrości jej położenia i starał się przynieść jej pociechę, tak też czuwał nad jej umysłowem wykształceniem, które dotąd sobie głównie zawdzięczała; w tym celu przynosił jej starannie dobrane klasyczne i naukowe dzieła, które rozszerzały nabyte już przez nią wiadomości, i zapoznawały z nieznanemi dotąd.

— Doprawdy, panie de Madiran, rzekła raz do niego hrabina, karmisz umysł mej córki tak niestrawnemi księgami i naukami iż muszę to przypisywać ich zgubnemu na nią wpływowi, że ma tak mało upodobań kobiecych. Nie ma zamiłowania w strojach, nie ubiega się za zabawami, i wcale nie lubi chodzić do sklepów i magazynów. Ja z niej nic zrobić nie potrafię.

— Bo też najlepiej aby pozostała tak jak jest.

— A! tak pan sądzi! Jednak towarzystwo Emeliny nie jest bynajmniej rozweselające, i w domu moim nie było nigdy tak nudno jak obecnie.

— Nudno!... tam gdzie przebywa tak miluchny kwiatek... taka młodziutka istota... A! pani...

— A! panie, dajmy pokój poetycznym uniesieniom, a wróćmy do prozy, będzie to dla mnie daleko zrozumialszem... W tłusty poniedziałek daję bal kostiumowy, czy będziesz pan na nim?

— Zapewnie pani hrabina sama przyzna, że płaszczyk wenecki byłby niewłaściwym na pochylonych wiekiem ramionach.

— Przeciwnie, pod jego osłoną wolnoby panu było wypowiedzieć wiele dowcipnych i złośliwych słówek, lub uwag stosownych tylko w ustach człowieka w sędziwym wieku.

— Smutny to przywilej, pani hrabino.

— Przyjdź pan, przy swej znajomości świata i serc ludzkich, będzie panu łatwo intrygować wszystkich.

— Niech pan przyjdzie, proszę bardzo, rzekła Emelina.

Pan de Madiran nie umiał oprzeć się życzeniu wyrażonemu tym pełnym słodyczy głosem. Śmiejąc się z tego że zaraźliwy szał nie pominął i jego posiwiałej głowy, przyrzekł że przyjdzie i dotrzymał słowa. Cieszyło go to zresztą że w tym domu w którym wywołał tak ważną zmianę; matka znosiła jego obecność, a córka jej pragnęła.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 30.

(*Dokończenie*).

Ryciny 26 i 27 podają dwie próbki tła do sakiewek, w kwadraty lub paski; deseń tworzy się przez zajmowanie oczek w robocie raz za obie górne nitki o. poprzedniego rzędu a w drugich pasach tylko za tylną połowę. Przeciąganie długich luźnych o. wskazane na ryc. 26.

N. 30—31. Kołnierzyki dla dzieci.

Kołnierzyk marynarski ryc. 31 uszyty z cienkiego płótna i oszyta 5 cent. szeroką nicianą koronką liczy z tyłu 5 z przodu 6 cent. szerokości i wszyty jest w pasek 40 cent. długi. Rycina 30 przedstawia kołnierzyk okrągły szyty ze wszywek łączonych stębnowanemi pliskami.

N. 34—35 i 23. Koszyczek okrągły do robót.

Z wewnątrz powleczony jest niebieskim kaszmirem z zewnętrznej zaś strony przybrany jest szlakiem fabrycznym 3 cent. szerokim do którego przyrobione są rozety i kwaściki wiązane z hamburskiej włóczki. Rycina 35 załącza próbkę rzoznego wyszycia na kanwie; wykonanie rozetek wskazuje ryc. 23, nitki nawinięte na wałeczku przewłóczą się grubą podwójną nitką włóczki i mocno związane.

N. 37. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki.

Odrobiony jest z białej piki i ozdobiony haftem angielkim, formę znajdą czytelniczki w dawniejszych arkuszach z krojami.

Opis do N-ru 31.

N. 1 i 16. Ubranie spacerowe dla chłopczyka lat 3—6. Krój na arkuszu Nr IV, Fig. 18—23.

Przy ubraniu z płótna granatowego, złożonem z bluzki, stanika i majtek, wszystkie stębnówki były ponsowe a wypustki ze sznureczkiem z ponsowego szwajcarskiego perkalu. Na rycinie 16 podajemy strojniejsze ubranie, zrobione z płótna écru, z wypustkami niebieskiemi, takąż stębnówką i gałązkami haftowanemi ściegiem krzyżowym na mankietach i kołnierzu. Guziki z konchy perłowej.

N. 2. Ubranie z tuniką przemarszczaną z przodu.

Model odrobiony z fularu gładkiego i deseniowego, heliotropowego koloru, z wypustkami jaśniejszemi; fason ten jednak nadaje się do wszelkich letnich materyałów. Spódnica ogarnirowana trzema falbankami i jaśniejszą wypustką, z których najwyższa z nagłówkiem. Opięta na spódnicy długa tunika, jest z przodu kilka razy przemarszczona, z boków ułożona w fałdy zwrócone w górę, u dołu ozdobiona ranwersami 19 cent. szerokiemi, skośnie do środka zwężonemi i złączonemi kokardą. Stanik zapięty na dwa rzędy guzików, kołnierz, klapki i mankiety z gładkiego materyału.



N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Bluza, majtki i stanik spodni dla chłopca lat 3-6. Plecy na r. 16. Krój N. IV, F. 18-23. N. 2. Ubranie z tuniką przemarszczoną z przodu. N. 3. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat. 1-3. Krój Nr V, Fig. 24-26.

N. 3 i 18. Ubranie dla dziewczynki lat 1 — 3. Krój Nr V, Fig. 24—26.

Wyciętą sukienkę zarówno zrobić można z gładkiego albo w ażurowe paski przerabianego, białego lub kolorowego materyału. Do garnirunku służyć mogą haftowane lub ściegiem krzyżowym wyszyte wstawki i falbanki, koronki niciane albo wywodzone na tiulu, lub siatkowe, mające 3—4 cent. szerokości. Plastron z przodu i trzy 6 cent. szerokie kontrafałda na pleckach, oznaczone są na formie linijkami. Szarfy 16 cent. szerokie a 57 długie wszywa się pod listewki plastronu.

N. 4 i ryc. 20 w N-rze 32. Koronka Cluny albo Reticella.

Ten rodzaj koronek wyrabiany jest w wielu departamentach francuzkich, podług wzorów z muzem w Cluny. Koronka tej grubości jak na ryc. 4, robiona nićmi Nr 20 i 3 (Königs zwirn) nadaje się do firanek, kap lub ręczników; do bielizny powinna być cieńsza. Ażeby wszystkie kwadraty deseniu były równej wielkości i równo okręcane, najlepiej zrobić tło z siatki odpowiednio rzadkiej. Do podanej przez nas próbki, trzeba siatki prostej o pięciu dziurkach szerokości, robionej na stalowym wałeczku, mającym 7 cent. obwodu, z nici Nr 20. Siatkę skończoną rozciąga się równo i gładko na sztywnym papierze lub ceracie, na której narysowany jest deseń, następnie dodaje się potrzebne nitki. W tej koronce od starannego i umiejętnego fastrygowania zależy równość i dokładność roboty, oraz kształt środkowych figur koronki. Na pomniejszonej próbce ryc. 20, ściegi fastrygi oznaczone są grubiej cieńszym kolorem Po przyfastrygowaniu siatki trzeba kwadraty pogrubić dodając do każdego po dwie nitki przeciągane przez ściegi fastrygi. Gdzie wypada dzierganie podwójne, pod drugi rząd podkłada się dwie nitki. Do środkowych figur koronki używa się 30-go N-ru nici. Po wykończeniu roboty fastrygi i pomocnicze ściegi przecina się z lewej strony i wyciąga a zbywające części oczek siatki przy zębach wycina się starannie.

N. 5. Żabot z trójkątnego kawałka.

Kawalek blado żółtej materyi, mający w prostych brzegach 30 cent. długości, oszywa się koronką 8 cent. szeroką, trochę nadmarszczoną. Próbki roboty langwedockiej koronki dajemy na ryc. 20 w N-rze 32. Trójkąt składa się w ten sposób, ażeby będący od spodu brzeg prosty wystawał z pod zwierzchniego na $1 \frac{1}{2}$ cent. Brzeg skośny jest ściśle do 4 cent. długości sfałdowany i do kawałka sztywnego przyszyty, niżej w odstępie 6 i 12 cent. od góry zmarszczony do 4 cent. Do wykończenia żabotu trzeba jeszcze kawałka materyi w półkole ściętego, 6 cent. wysokiego a 10 długiego, oszytego koronką i w pukiel złożonego, któren przyszywa się z boku sposobem na ryc. 5 wskazanym; na przyszyciu dane przepięcie z kawałka materyi, a na niem umieszczony bukiecik.

N. 6. Żabot z kwadratowej jedwabnej chusteczki.

Model odrobiony był z bastowej chusteczki z tureckim szlakiem, trzymający 48 cent. w kwadrat, którą składa się skośnie, następnie z górnej większej połowy układa się 2 kokardy z krótkiemi końcami, z dolnej jeden koniec służy na węzeł, drugi jest dłużej spuszczony.

N. 9 ryc. 1 w N-rze 32. Czepek ranny neapolitański.

Fason czepeczka stanowi owalne denko z cienkiego tiulu, mające 27 cent. długości a 22 szerokości, drobno przefałdowane i wszyte w pasek 58 cent. długi z przodu 4, z tyłu 2 cent. szeroki, podszyty z brzegu agremanem; na tem układa się skośny kawałek blado niebieskiej materui „surah,“ mający 56 cent. szerokości a 51 długości. Podłużny brzeg materyi na 18 cent. szerokości jest przyfałdowany i gładko opasany koło czółka w ten sposób, ażeby końce schodziły się z boku w miejscu gdzie denko jest trochę przyfałdowane. Na większe z drugiej strony przyfałdowanie, nacina się nad opasaniem czółka, poprzecznie 18 cent., potem zaokrągla się denko do dołu, fałduje i przyszywa do czółka. Następnie układa się denko w sposób wskazany na ryc. 9 i 1, dodaje się kokardę z tej co czepek materyi i przypina różę blado rożową.

N. 10 — 15. Zasłonki do okien.

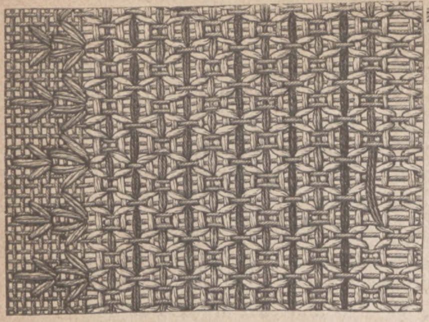
Obiedwie próbki nadają się zarówno do rolet zajmujących całą szerokość okna jak i do zasłonek krótkich, na każdej połowie okna oddzielnie zawieszonych i na kółkach rozsuwanych. Rolety zachodzą na ławkę okna, a często bywają nawet aż do ziemi spuszczone, zasłonki zaś zajmują tylko dwie lub $1 \frac{1}{2}$ szyby i dochodzą do ramy.

N. 10—13. Zasłonka lub rozeta z haftem gobelinowym.

Składa się z pasów „Gaze etaminé“ koloru écru, z 6 cent. szerokich szlaków haftowanych na kanwie kongresowej i trochę szerszych pasów kratek ażurowych na tejże kanwie robionych, albo fabrycznie tkanych. Jak to widzimy na ryc. 13 daje się naprzemian haft gobelinowy, odrobiony podług ryc. 12, mający z brzegów dwa pasy kratek tkanych fabrycznie jak na ryc. 10 i przewłóczony podłużnie jedwabiem kolorowym, albo pasy kratek ręcznyeznych, robionych podług ryc. 11, za któremi idą pasy gładkiej kanwy. Rezety w szlaku haftowane były trzema nitkami filozeli łososiowego koloru w dwóch cieniach ze środkami oliwkowemi, zaś arabeskowe figury jedwabiem niebieskim. Boki rozet lub zasłonek są szeroko obrąbione a dół oszyty frendzlą

N. 14—15. Zasłonka ozdobiona robotą szydełkową.

Roleta lub zasłonka składa się z wązkich i szerokich wstawek szydełkowych przedzielanych pasami płótna lub bastu écru albo białego szyrtyngu. Stosownie do materyału wstawki robi się z nici białych lub écru albo z jedwabnego kordonku. Wyraźną próbkę roboty dajemy

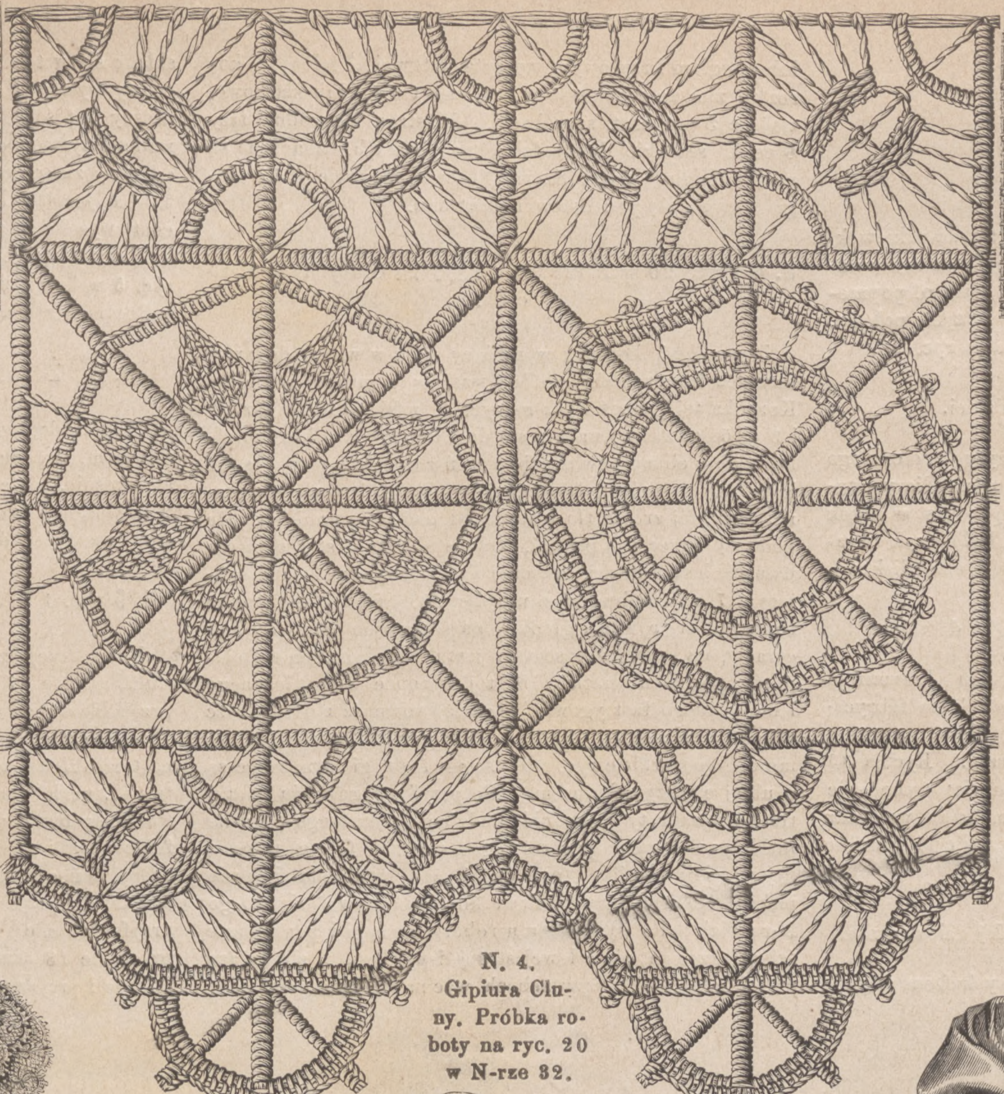


N. 10. Szlak ażurowy tkaną fabrycznie na kanwie „étaminé“ do ryc. 13.

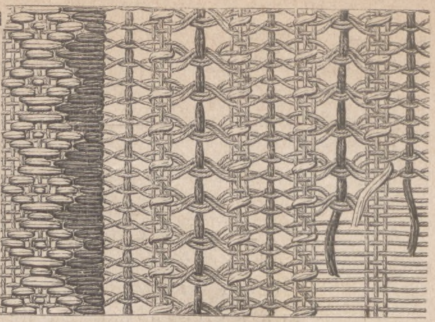
na ryc. 15 w naturalnej wielkości, wstawki są z jednego i trzech rzędów gwiazdek spajanych gwiazdkami maleńkiemi, brzeg obrabia się o. powietrznemi i słupkami. W miejsce wstawek szydełkowych można dać koronkę reticella albo siatkę gipiurową.

N. 18 — 19. Teka na chusteczki do nosa, ozdobiona haftem na tiulu.

Rycina 18 przedstawia trochę więcej jak $1/_4$ część ciągnionego deseniu, który odrabia się na białym tiulu jedwabiem oliwkowym, różowym i jasno niebieskim, trzema jeden na drugi zajmanemi rzędami ściegów dzierganych,



N. 4. Gipiura Cluny. Próbka roboty na ryc. 20 w N-rze 32.



N. 11. Szlak do ryc. 13, kratka ażurowa robiona na kanwie kongresowej.

N. 21. Parasolik pokryty haftowanym tiulem. Deseń na Fig. 62.

Czarnym atłasem pokryty parasolik ozdobiony jest przykryciem z czarnego jedwabnego tiulu, haftowanym tym sposobem co teka do chusteczek, jedwabiem kolorowym na podłożonym sznureczku złotym. Na Fig. 62 dana jest cała środkowa figura i połowa szlaku na jedną kwaterkę.

N. 22 — 23. Przykrycia na parasoliki.

Rycina 22 przedstawia kwaterkę do parasolika z płótna écru z fabrycznie wrobionym szlakiem kanwowym.



N. 5. Żabot z trójkąta materyi. Patrz próbkę koronki na ryc. 31 w N. 32.



N. 7. Rękaw do sukni z fałdowanym garnirunkiem.



N. 9. Czepeczek ranny neapolitański. Patrz przód na ryc. 1 w N-rze 32.



N. 8. Rękaw ubrany plisami.



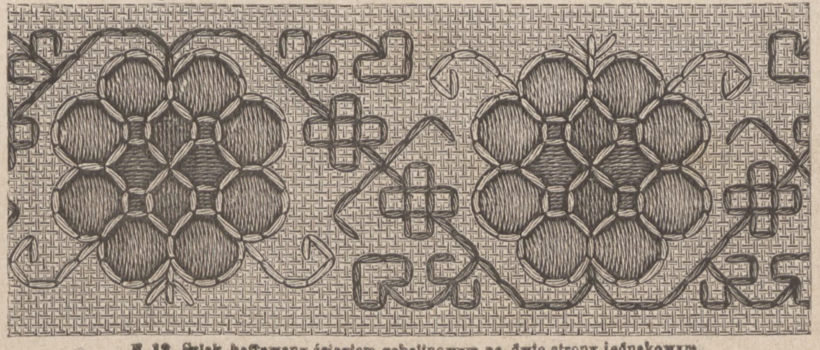
N. 6. Kokarda z kwadratowej jedwabnej chusteczki.

pod które podkłada się cienki sznureczek złoty. Mniejsze muszki na tle wywodzi się kolorem różowym i niebieskim, większe dzierga się jedwabiem oliwkowym na podłożonym sznureczku złotym. W odstępie paru oczek od haftu, wycina się tiul podług deseniu, oszywa pikotami koronkowemi i przyszywa z wierzchu na tece, która składa się z dwóch płaskich poduszeczek wysłanych perfumowaną watą i tylko w jednym rogu złączonych. Poduszeczki mają z białego atłasu podszewkę w skośne pirożki pikowanego, wierzch pokryty gładko atłasem różowym. Środek zdobi rozeta ze skośnego 7 cent. szerokiego a 85 długiego kawałka atłasu złożonego we dwoje, zmarszczonego i w kółko zwiniętego.

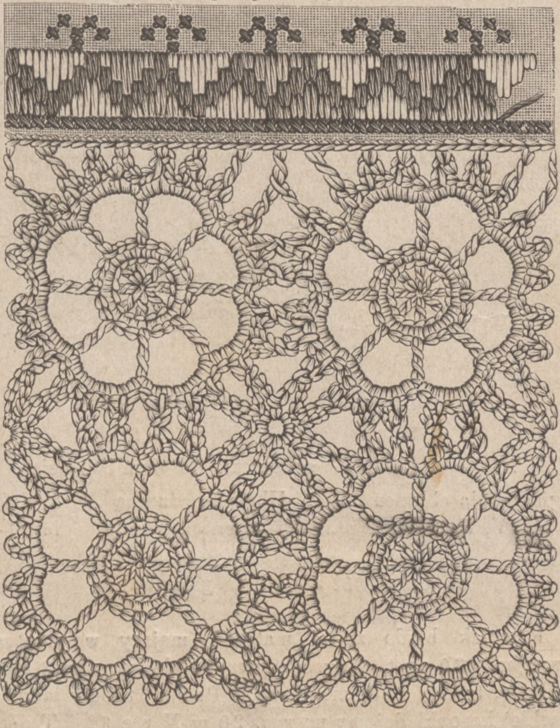


N. 14. Roleta albo zasłonka do okna, ozdobiona wstawkami szydełkowemi. Patrz ryc. 15.

N. 20. Półbucik z lakierowanej skóry, stębnowany białym jedwabiem w palcach wązko zakończony, z przodu sznurowany wstążką 4 cent. szeroką, na kokardę związaną.



N. 12. Szlak haftowany ściegiem gobelinowym na dwie strony jednakowym.



N. 15. Próbka wstawek szydełkowych w naturalnej wielkości do rolety ryc. 14.

Deseń do haftu krzyżowego odrobionego jedwabiem lub bawełną kolorową dajemy na Fig. 30; całe tło parasolika ozdobione rzucikiem. Na ryc. 23 widziemy kwaterkę z koronki duchesse pod którą daje się zawsze kolorową podszewkę.

N. 24 — 27. Szlak haftem „alliance“ do sukień, kap i t. p.

Materyał: kordonkowy jedwab surowy z trzech nitek skręcany, gruby kordonek matowo białego koloru, perkal szwajcarski ponsowy.

W hafcie alliance połączona jest robota ręczna i maszynowa, w maszynie robione są kontury ściegiem łańcuszkowym, a tło zapełniają kratki ręcznie robione. Haft wykonany na perkalu ponsowym szwajcarskim, wygląda jak piękna gipiura i służyć może do ozdoby sukień perkalowych. Najpierw deseń rysuje się na tle, haftuje kontury w maszynie lub tamborku, następnie odrabia się ręcznie łańcuszki łączące figu-



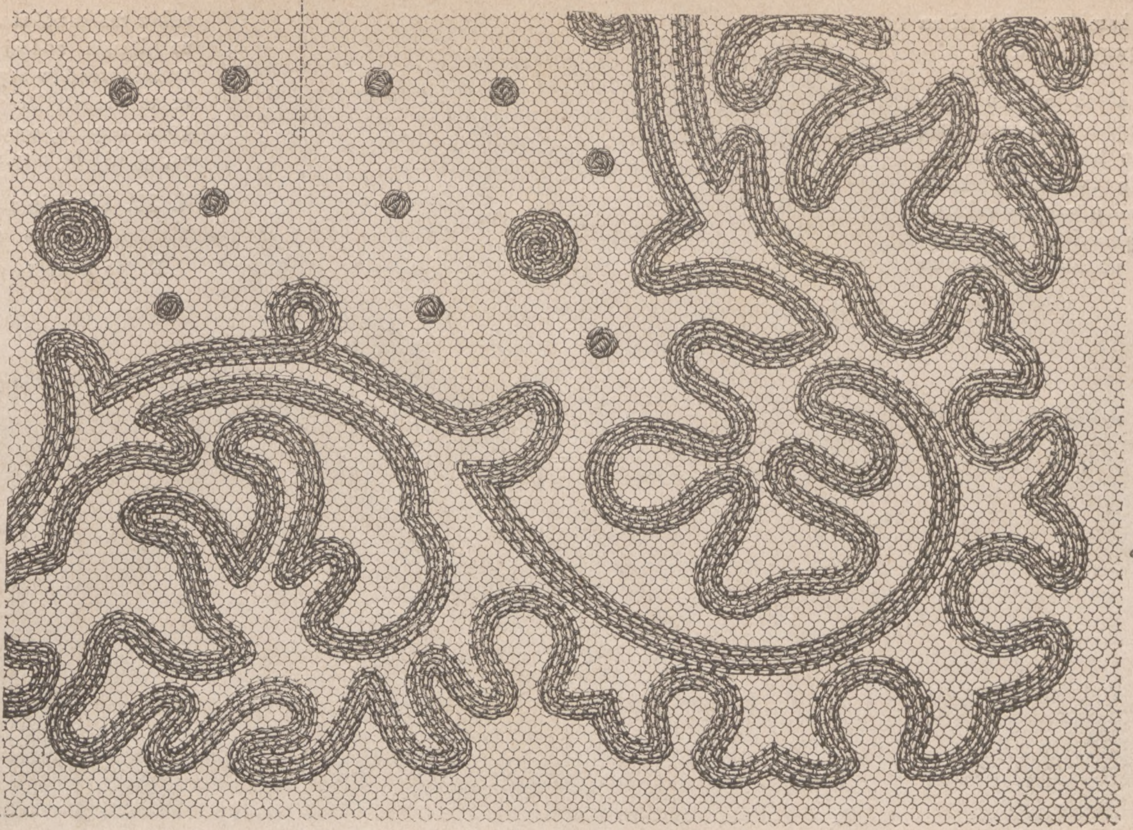
N. 13. Roleta albo zasłonka do okna ozdobiona haftem i kratką. Patrz ryc. 10 — 12.

ry, przeprowadzając po skończeniu każdego osobno, nitkę na lewą stronę gdzie ją się ucina zostawiając koniec. Różne ście-



N. 16. Ubranie dla chłopczyka lat 3—6. Patrz przód na ryc. 1. Krój Nr IV, Fig. 18—23.

gi i kratki zapełniające środek figur, wyraźnie wskazane są na rycinie 27 i na próbkach ryc. 24—26.



N. 18. Czwarta część przykrycia na tekę do chustek od nosa ryc. 19. Wywodzenie na tiulu.

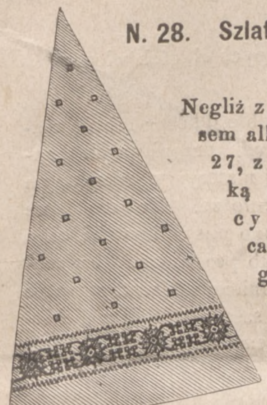
N. 28. Szlafrok ranny ozdobiony haftem „alliance."

Negliż z płótna écru ozdobiony jest pasem alliance, odrobionym podług ryc. 27, z brzegów zakończonym wypustką ze sznureczkiem, przechodzącym przez całą długość przodów zapinanych z boku. Mankiety i kieszonki ozdobione takim samym haftem i koronką.

N. 29. Uczesanie z własnych włosów. Rozdzieliwszy włosy poprzecznie na trzy części, część środkową związuje się na czubku głowy, przednie włosy podczesuje w górę gładko, albo na małej podkładce i łączy z włosami związanemi, następnie takowe dzieli się na dwie części z których jedną lekko zwija i przypina z przodu, potem dolną niezwiązaną część włosów podczesuje się w górę, upina w dwa pukle na czubku głowy a z pozostałej części związanych włosów układa się trzeci pukiel środkowy.



N. 17. Ubranie dla dziewczynki lat 1 — 3. Plecy na ryc. 3. Krój Nr V, Fig. 24—26.



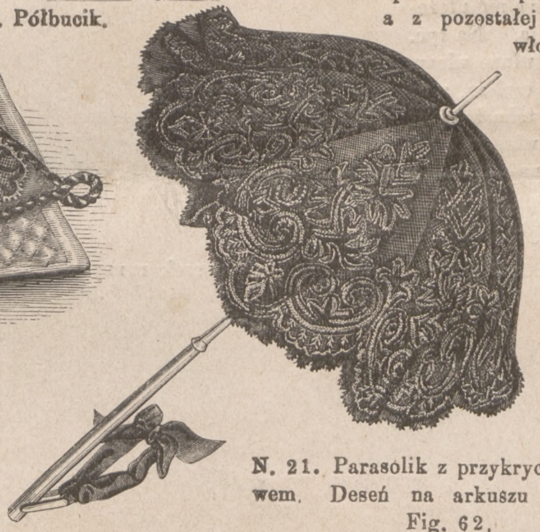
N. 22. Kwaterka do parasolika ozdobiona haftem krzyżowym. Deseń Fig. 30 lub ryc. 17 w N-rze 32.



N. 20. Półbucik.



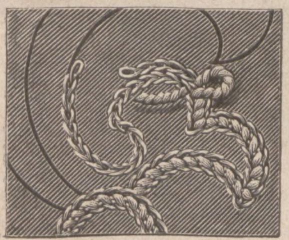
N. 19. Teka na chustki do nosa pokryta tiulem wywodzonym. Część wywodzenia w naturalnej wielkości rycina 18.



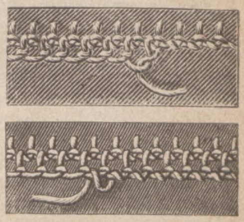
N. 21. Parasolik z przykryciem tiulowem. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 62.



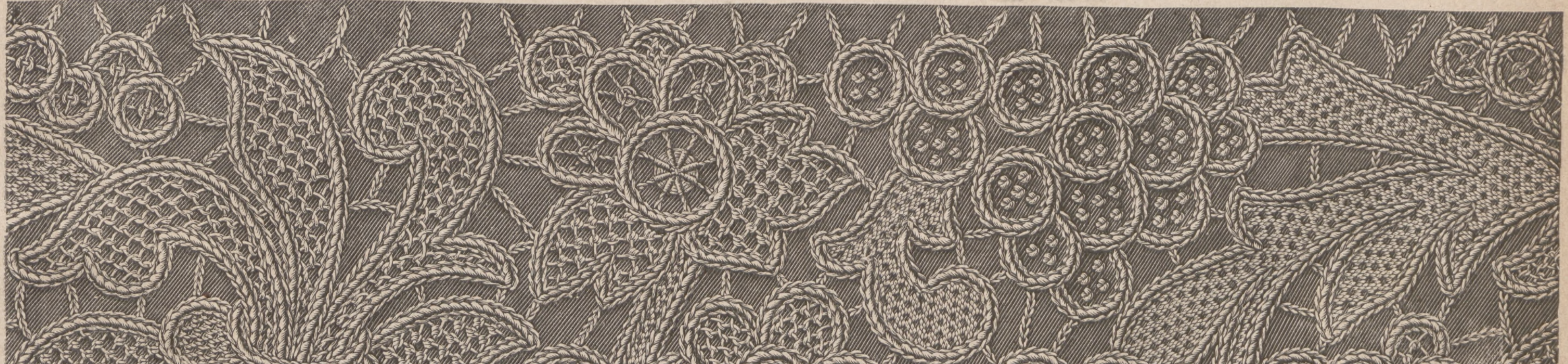
N. 23. Kwaterka do parasolika. Koronka Duchesse.



N. 24. Próbka roboty konturów do ryc. 27.



N. 25 i 26. Próbki ściegu koronkowego do ryc. 27.



N. 27. Szlak do sukień, serwet na stoły i t. p. Haft zwany „alliance. Patrz ryc. 25, 26 i 28.

N. 30—35. Uczesanie głowy z lokami przypiętemi na grzebyku i różne włosy do przypinania.

Takie uczesanie, nadaje się do małych włosów które rozdziela się poprzecznie na dwie części, tylną wiąże się wysoko, przednią podczesuje gładko lub na podkładce, łączy z poprzedzającemi i zwija koło związania. Duży przez fryzyera przygotowany promień włosów zakłada się od spodu na grzebyk ryc. 31, przeciąga przez wyrzniętą ławeczkę podług ryc. 32, układa na wierzchu

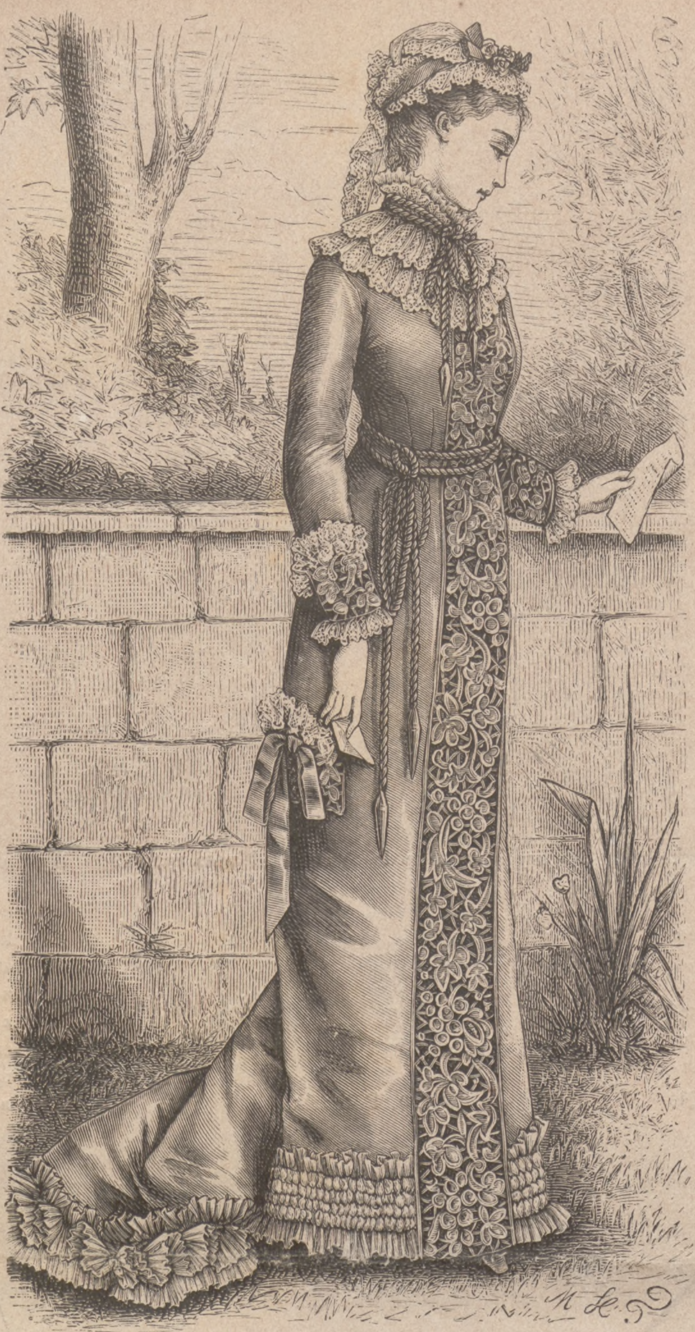


N. 30. Uczesanie z dodaniem pukli i loków. Patrz ryc. 32 i 33.

w pukiel, wpina zwinięte włosy a końce zwijają się w loki. Rycina 33 przedstawia mały loczek, któren dowolnie może być wpięty gdzie zachodzi potrzeba dopełnić ułożenie włosów, albo też wpina się nizko nad szyją. Na ryc. 34 widziemy bardzo zręcznie na tiulu oprawione włosy, służące do pokrycia braku takowych nad czołem, a na ryc. 35 podajemy z lewej strony mniejszy; taką krepinę służącą do przypięcia z boku w razie braku włosów przyczepiają się do głowy na elastyce zapinanej na guzik.

N. 36 i ryc. 8 w N-rze 3?. **Stanik** bawetowy z częściami à panier. Krój Nr VII, Fig. 31—37.

Model odrobiony był z gładkiego beżu i z fularu w de-



N. 28. Szlafroczek ranny ozdobiony haftem „alliance.“

nek z 25 cent. szerokich skosów atłasu, stanowiący na plecach rodzaj chusteczki. Stanik w górnej części przodów zapina się na guziczki, w dolnej na kryte haftki. Draperya z przodu jest z deseniowego materyału, oszyte szerokiem obłożeniem z atłasu, gładki bryt tylny także atłasem objęty.

N. 37. Ubranie z kołnierzem szarfą i mankietami z kolorowej materyi.

Każdą podróżną wełnianą suknię można zmienić



N. 29. Uczesanie z własnych długich włosów.

w ubranie stosowne do „table d'hôte“ lub do teatru, przez dodanie kołnierza, przypinanych mankietów i szarfy z jedwabnej materyi w odmiennym lecz odpowiednim sukni kolorze. Te dodatkowe części zdobić mogą odmienne plisy, koronki, albo szlaki wyszyte jedwabiem lub perełkami. Na modelu szeroki wykładany kołnierz, 9 cent. wysokie mankiety i szarfa 15 cent. szeroka, były z niebieskiego „surah,“ z wywiniętemi na wierzch, 8 cent. szerokiemi szafirowemi plisami.



N. 36. Suknia z przyszytemi długiemi częściami panier. Plecy na ryc. 8 w N-rze 32. Krój Nr VIII, Fig. 31 i 37.



N. 33. Loczek do dowolnego przypięcia.



N. 35. Promienie dodatkowe. Strona lewa.



N. 34. Promienie dodatkowe. Strona prawa.

N. 32. Grzebyk z przeciągniętym promieniem włosów. Lewa strona do ryc. 30.



N. 31. Grzebyk do przeciągnięcia włosów. Zobacz ryc. 30 i 32.

seń ubrany odpowiedniego koloru frendzlą sznelową, wypustkami z atłasu i kokardami ze wstążki 7 cent. szerokiej. Fason deseniowych części danych na staniku, oznaczony jest cienką linijką na Fig. 31 i 36; zeszycie takowych ze stanikiem pokrywa przemarszczony garniru-



N. 37. Ubranie z przypinanym kołnierzem, mankietami i szarfą z materyi jedwabnej, do przyozdobienia sukień podróżnych.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1880 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. I. Ubranie ranne (spódnica i paletocik). Rycina 15 w N-rze 32.
Miara objętości przez połowę: 49 cent. w gorsie, 36 w pasie.

Fig. 1. Połowa przodów.
Fig. 1A. Część górna (A, I, K, L, *, :)
Fig. 1B. Dolna część (B, *, :, ·)
Fig. 2. Pierwsza część pleców (A, B, C, D, E, F, K × 1) 1 założ.
Fig. 3. Druga część pleców (C, D, E, F, G, H, I, · 1)
Fig. 4. Rękaw (L, M, N, O, P, Q)
Fig. 5. Połowa wykładu (P, Q)
Fig. 6. Połowa kieszonki (·)



Fig. 1a—6a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—6.

Fig. 7. Wskazanie kroju połowy spódnicy: *a* połowa przodu, *b* połowa górnej części tylnego bryta, *c* połowa części plisowanej. Całość ubrania przedstawiona z tyłu na Fig. 28.

N. II. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Rycina 23 w N-rze 32.

Fig. 8. Przód (R, S, T, V, X) 1 założenie
Fig. 9. Połowa pleców wraz ze zwierzchnią częścią rękawa (R, S, T, U, V, W, X) 1 założenie
Fig. 10. Spodnia połowa rękawa (T, U, V, W)
Fig. 8a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 8—10.

N. III. Ubranie dla młodej panienki. Rycina 40 w N-rze 32.

Fig. 11. Przód (a, f, g, h, m)
Fig. 12. Boczek (a, b, c)
Fig. 13. Połowa pleców (b, c, d, e, f, g, × 2 i · 2 do × 3 i · 3)
Fig. 14. Rękaw (h, i, k, l)
Fig. 15. Wykład na rękawie (*, :)
Fig. 16. Połowa prostego kołnierza z oznaczeniem okrągłego (d, m)
Fig. 17. Wskazanie kroju połowy sukni: *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta.

N. IV. Ubranie dla chłopca lat 3 — 6. Rycina 1 i 16 w N-rze 31.

Fig. 18. Majtki (n, o, p, q, r, s, × 4 i · 4 do × 7 i · 7)
Fig. 19. Połowa spodniego stanika (t, u)
Fig. 20. Przód bluzki (v, w, x, y, +)
Fig. 21. Połowa pleców (v, w, x, y, z, :)
Fig. 22. Rękaw (z, *)
Fig. 23. Połowa marynarskiego kołnierza (:, +)

N. V. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki lat 1—3. Rycina 3 i 17 w N-rze 31.

Fig. 24. Połowa przodu (1, 2, 3, 4)
Fig. 25. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, :, × 8 i · 8 do × 10 i · 10)
Fig. 26. Rękaw (1, *)

N. VI. Tunika do sukni ryc. 7 i 16 w N-rze 32.

Fig. 27. Wskazanie kroju tuniki: *a* połowa przodu, *b* połowa dolna tylnego bryta, *c* i *d* górne części tylnego bryta krajane wraz z plecami.
Fig. 28. Plecy do ryc. 15 w N-rze 32.

Desenie i szlak krzyżykowy.

Fig. 29. Połowa deseniu do ekranu ryc. 13 w N-rze 32.
Fig. 30. Szlak do pokrycia na parasolik ryc. 22 w N-rze 31.

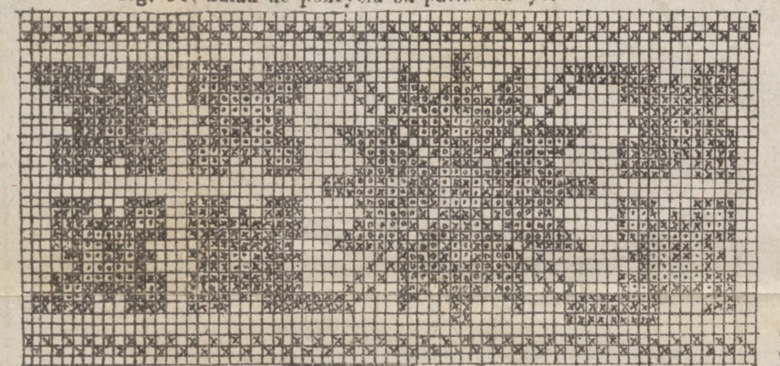


Fig. 30.

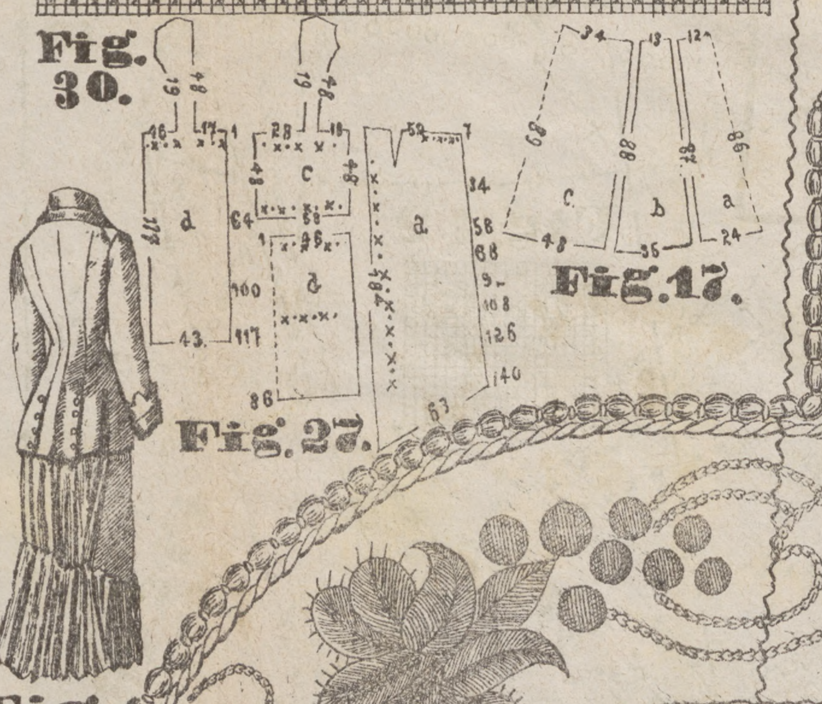
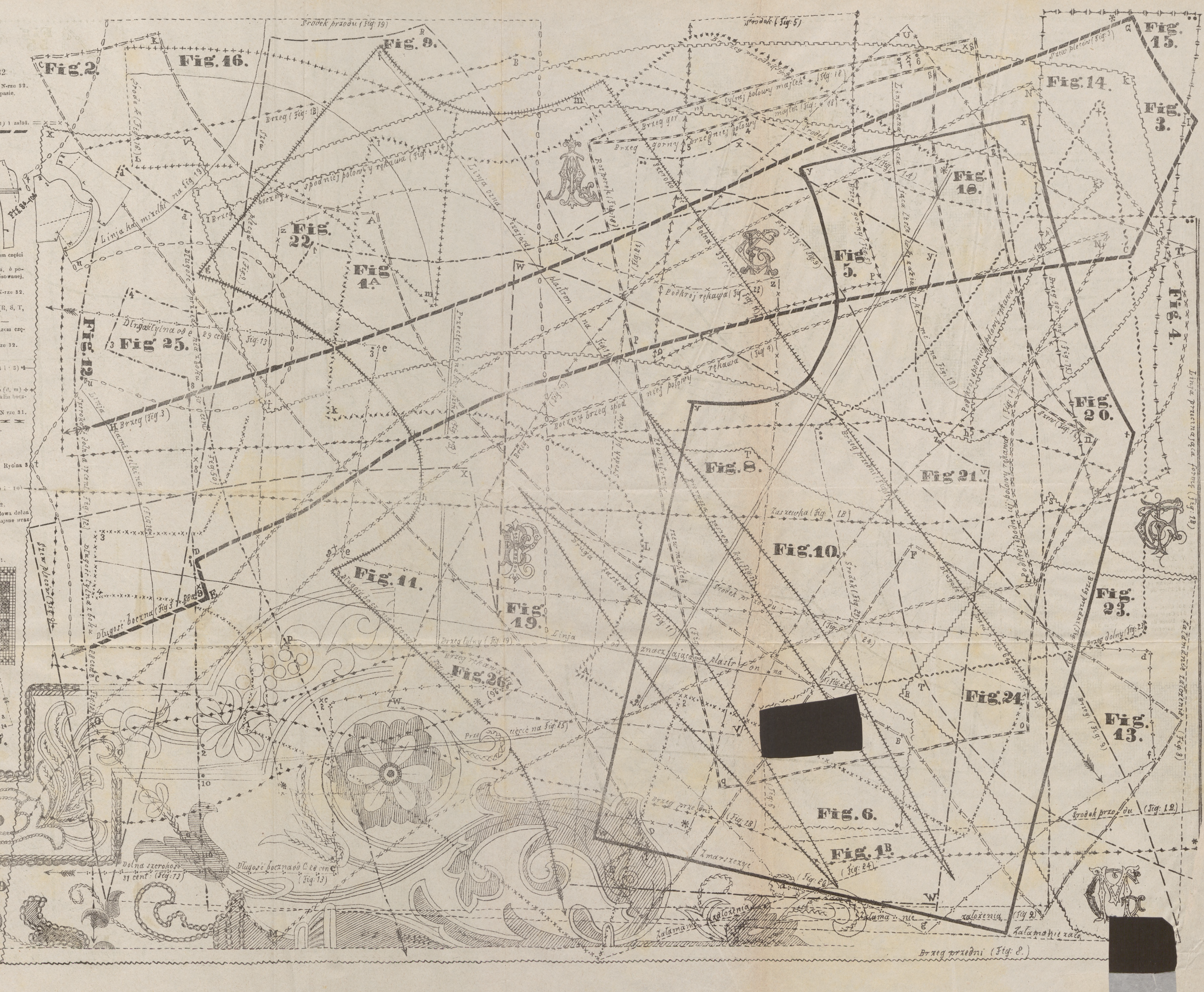


Fig. 27. Fig. 17.

Fig. 28.



Fig. 29



Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. VII. Stanik à panier do sukni ryc. 8 w N. 32 i 36 w N. 31. Miara objętości przez połowę: 50 cent. w górze a 32 cent. w pasie.

Fig. 31. Przód (A, B, C, L, M, N)
Fig. 32. Boczek przedni (A, B, D, E)
Fig. 33. Panier (B, C, E, F, · 1 i × 1 do · 3 i × 3)
Fig. 34. Drugi boczek (D, E, F, G, H, *) ═ ○ ═ ○ ═
Fig. 35. Patka do baskiny (*) ←→ ←→
Fig. 36. Połowa pleców (G, H, I, K, L, M, · 4 i × 4 do · 5 i × 5)
Fig. 37. Rękaw (N, O, P, Q)

N. VIII. Płaszczyk z długiemi [?] erynowemi rękawami. Rycina 34 w N. 32.

Fig. 38. Przód (R, T, U, V, X) — * — * —
Fig. 39. Boczek (R, S)
Fig. 40. Połowa pleców (S, T, U, W) × • × • ×
Fig. 41. Rękaw pelerynowy (S, U, V)
Fig. 42. Połowa kołnierza (W, X) ├─┤ ├─┤

Fig. 38a—42a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 38—42. Plecy płaszczyka patrz Fig. 59.

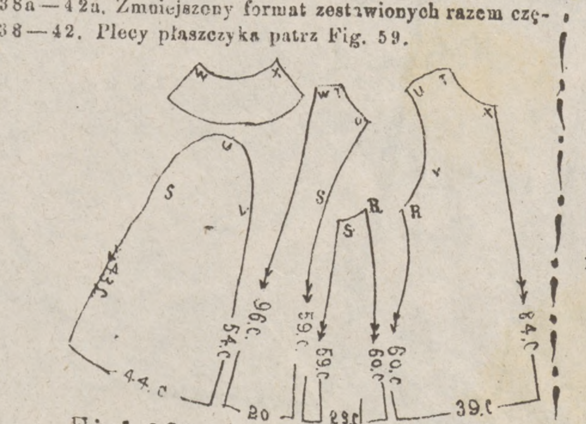


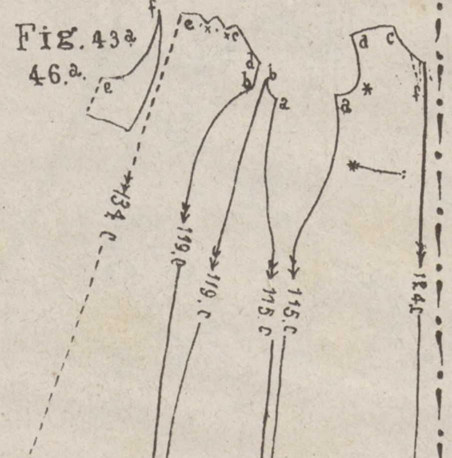
Fig. 38a—42a.

N. IX. Ubranie ranne dla młodej panienki. Ryc. 41 w N-rze 32. Miara objętości przez połowę: 42 cent. w gorsie.

Fig. 43. Przód (a, c, d, f, :, *, *)
Fig. 44. Boczek (a, b) — × — × —
Fig. 45. Połowa pleców (b, c, d, e, · 6 i × 6 do · 7 i × 7)
Fig. 46. Połowa kołnierza (e, f) ○○○○

Fig. 43a—46a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 43—46.

Fig. 43a 46a.



N. X. Ubranie dla chłopca lat 6—8. Rycina 33 w N-rze 32.

Fig. 47. Majtki (g, h, i, k, l, m)
Fig. 48. Połowa spodniego stanika (n, o)
Fig. 49. Połowa przodu zachodząca pod spód (kamizelka) (p, q, w, x)
Fig. 50. Połowa przodu idąca na wierzch (p, q, r, s, t, u, w, x, z, *, :, +, ·)
Fig. 51. Połowa pleców (s, t, u, v, w, x) — ○ — ○ —
Fig. 52. Rękaw (s, y)
Fig. 53. Połowa kołnierza (v, z) * * * *
Fig. 54. Patka do górnej kieszonki (*, :)
Fig. 55. Patka do bocznej kieszonki (+, ·) + + + +

N. XI. Kaftanik męzki pod spód. Rycina 12 w N-rze 32.

Fig. 56. Przód z dodaną szmizetką (1, 2, 3, 4) 1 założenie
Fig. 57. Połowa pleców (1, 2, 3, 8) ═ × ═ × ═ ×
Fig. 58. Rękaw (4, 5, 6, 7, 8)
Fig. 59. Plecy do ryc. 34 w N-rze 32.

Desenie.

Fig. 60. Część szlaku do ryc. 5 w N-rze 32.
Fig. 61. Część szlaku do serwety ryc. 5.
Fig. 62. Deseń do ryc. 21 w N-rze 31.
Fig. 63. Narożnik do poduszki ryc. 5 w N-rze 30.

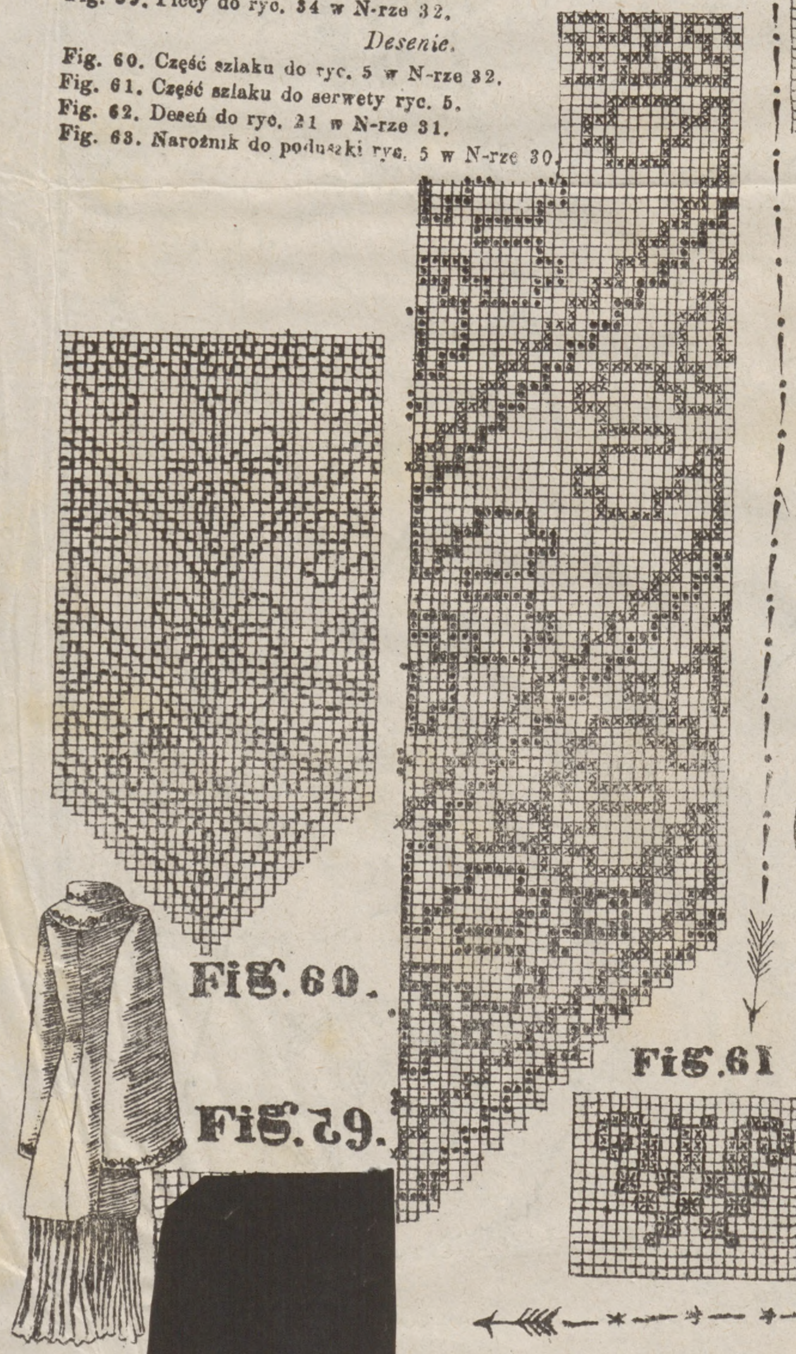


Fig. 60. Fig. 59. Fig. 61.

